

Władysław Zdanowicz

# Misjonarze z Dywanowa

Polski Szwejk na misji w Iraku



KSIĘGARNIA  
ZDANOWICZ

Część I

PINKY, czyli nowicjusz

**Władysław Zdanowicz**

**Misjonarze z Dywanowa  
czyli  
Polski Szwejk na misji w Iraku**

Stronic kilka z dziejów plutonu rotacyjno-dyspozycyjnego, z ogólnym zastrzeżeniem, że wszystkie opisane tu osoby oraz wydarzenia miały tak naprawdę niewiele wspólnego z rzeczywistością. Ta była o wiele, wiele gorsza.

ISBN 978-83-925232-6-0

© Copyright by Władysław Zdanowicz

**Tom pierwszy  
Pinky, czyli nowicjusz**

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz podzielić się swymi uwagami, spostrzeżeniami, sugestiami i wnioskami dotyczącymi tej książki, a może – czego też wykluczyć nie można – jej autora pochwalić, co byłoby może nawet dlań miłe, albo zganić, co byłoby może nawet konstruktywne, napisz pod adres:

[ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl](mailto:ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl)

Większość bohaterów tej powieści, opisane sytuacje i dialogi są autentyczne, skoro więc jesteśmy przy temacie rzeczywistości, to wszystkim wiadomo, że wojsko zawsze posługiwało się, posługuje i nadal będzie się posługiwać nader prymitywnym i dosadnym językiem – zwanym potocznym – i to dotyczy wszystkich szczebli dowodzenia. Posługuję się tym językiem z premedytacją. Nie dlatego, że to mój ulubiony język, ale z doświadczenia wiem, że wiele osób, i to na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach, – na co dzień używających w swoich wypowiedziach słów na k..., oraz czasownika, będącego ewenementem światowym, bo tylko w polskim języku występuje wulgarny czasownik pier..., który z odpowiednimi przedrostkami zastępuje wszystkie czasowniki w naszym języku – bez istnienia owych słów w tekście nie byłoby w stanie zrozumieć treści, którą chcę przekazać. Jeśli więc nie masz skończonych osiemnastu lat, masz awersję do takiego rodzaju słownictwa albo jesteś kobietą – choć znam kilka, które posługują się owym językiem w sposób mistrzowski – odłóż książkę na półkę, bo nie jest dla ciebie przeznaczona.

I na koniec – bardzo dobrze, że istnieją męskie i żeńskie narządy płciowe – dzięki temu żołnierz wie, gdzie ma iść i ile ma roboty.

## Rozdział pierwszy.

- **M**yslenie pozostawcie koniom! Mają większe od was łby i przede wszystkim jaja!
- Plutonowy Piotr Leńczyk chodził zły po wybetonowanym kawałku placu i spoglądał spod opadającego daszka czapki na dwa szeregi wyprostowanych poborowych.

Lubił ten moment, gdy po raz pierwszy przekazywał nowym, że właśnie teraz skończył się dla nich pewien okres w życiu. I tak naprawdę dopiero po wyjściu od nich, z wojska, będą mogli podjąć świadomą decyzję, co chcą robić w przyszłości. Oczywiście nie dotyczyło to wszystkich poborowych. Większa część z nich nigdy nie dorośnie na tyle, aby spróbować zmienić cokolwiek w swoim życiu i pójść własną drogą. Bez żadnych złudzeń – i chyba właśnie ta świadomość powodowała, że chodził teraz zły i naburmuszony, zerkając od czasu do czasu w stronę trzech kaprali, karnie stojących obok i czekających, aż pozwoli im zagnać nowych do koszar, na pierwsze prawdziwe spotkanie z wojskiem. Uśmiechnął się w myśli, wspominając swoje pierwsze wrażenie. To były inne czasy i inne wojsko. Nie jakieś głupie dziewięć miesięcy jak teraz, tylko całe dwa lata z kapralami, którzy w dzisiejszym wojsku nie mieliby czego szukać. Tępi, ufni w swoją teoretyczną władzę, oddani tradycji, czyli fali, i wierzący, że poborowego trzeba najpierw złamać i dopiero wtedy formować na nowo.

A że czasami przekraczało się granice, no cóż, trudno... Zawsze ktoś nie wytrzymał „docierania”... Teraz, w tym pańskim wojsku, też zdarzały się czasami takie sprawy, do których nie powinno było dojść. Osobiście Leńczyk był przeciwny wszelkim nadużyciom. Ba, zadbał, aby jego kaprale zrozumieli odpowiednio wcześniej, że jeśli kiedyś przesadzą, to będą mieli z nim do czynienia, a on nie potraktuje ich tak łagodnie jak ewentualny wojskowy prawnik. Z drugiej strony – ten pierwszy kontakt z poborowymi miał jeszcze jedno uzasadnienie, po ostatnich

doświadczeniach, kiedy to WKU przysłała do jednostki poborowego, który miał lewą nogę krótszą od prawej o trzy centymetry, cukrzyka – co o mało nie doprowadziło do jego zejścia ze świata podczas porannej, dość intensywnej zaprawy, czy młodego ochotnika, który dostał jednocześnie dwa powołania: jedno do jednostki, drugie do więzienia – za napad z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Na jego miejscu Leńczyk też wybrałby wojsko, ale na szczęście odpowiednio wcześniej zauważył „dziary” na skórze.

Nie było uzupełnienia, żeby nie wykrył jakiegoś kwiatka. Tak jak ostatnio, gdy podczas odwiecznego: „Biegiem – marsz! Powstań! Postawa leżąca (padnij!)!” dostrzegł, że jeden z poborowych ma duże kłopoty z wykonaniem tych całkiem podstawowych czynności sprawnościowych. Powód okazał się prozaiczny: pręt w lewej nodze, jaki w szpitalu umieszczono mu po wypadku motocyklowym. Jakim cudem nikt nie zauważył tego w WKU, tego nikt nie mógł pojąć. W wyjaśnienia poborowego, że zgłaszał to komisji, ale pani lekarz stwierdziła, że to nie zwalnia go od odbycia służby na stanowisku magazyniera, który przecież nie musi biegać i uczestniczyć w musztrze, nikt nie chciał dać wiary.

– Jesteście teraz w woju, a tu wasze próby użycia mózgownicy są niewskazane, wręcz szkodliwe – grzmiał na cały głos, przyglądając im się uważnie. – Zrozumiano?!

Szereg wyprostowanych poborowych najpierw wstrzymał oddech, po czym każdy, zerkając niepewnie jeden na drugiego, zaczął się zastanawiać, czy ma prawo odpowiedzieć na pytanie. Ponieważ cisza się przedłużała, co niektórzy stwierdzili, że powinni wykazać się inicjatywą:

– Ta jest, panie plutonowy! – wyrwało im się nieskładnie.

Uśmiechnął się. Kolejne roczniki zawsze popełniają ten sam błąd. To nie szkoła, żeby prowadzić dyskusję lub wymianę poglądów. Ale skąd ta banda ogolonych na głacę młokosów mogła wiedzieć, o co chodzi? Ostrzyżeni na łyso, ciągle poganiani

krzykiem, stawiani wobec wymagań, aby wszystko robili na czas i biegiem, zawsze zdawało egzamin. Wtedy grupa była zdezorientowana i łatwo się podporządkowywała każdemu, kto zaczynał wydawać rozkazy. Wyczuwała w nim przywódcę i cieszyła się, że nie musiała sama podejmować żadnych decyzji. Teraz należało jedynie odszukać tych, którzy nie poddali się ogólnej atmosferze oraz znaleźć racjonalny powód takiego zachowania. Leńczyk wolałby, aby były to osoby, którym odpowiada atmosfera i życie w wojsku niż tacy, którzy w cywilu należeli do jeszcze gorszych grup przymusu i tutaj nie mieli zamiaru być materiałem do kształtowania.

– A kto wam, kurna, pozwolił się odezwać?! Był rozkaz „Mówić”?! – zrobił surową miną i od razu odpowiedział sam sobie. – Nie było takiego rozkazu!!! Więc siedź jeden z drugim na dupie i czekaj, aż pozwolę mu się odezwać! Jak będę chciał, aby jakaś mameja odezwała się słowem mówionym, to zwrócę się do niego osobiście!

– Ja to bym tak pogonił koty, aż ogony by im opadły – szepnął kapral Jasiński do stojących kolegów. Wcale się przy tym nie krępował obecnością wyższego ranga, mówił na tyle głośno, że wszyscy musieli to słyszeć, nawet Leńczyk. Zdawał sobie sprawę, że plutonowy, który sprawdzał nowych poborowych, nie toleruje takich incydentów, ale teraz, na kilka dni przed jego wyjazdem z jednostki, nie widział powodów, aby się pilnować... Czuł się swobodnie i nie miał zamiaru tego ukrywać.

– Albo zrobił im „nonstopa” – zaśmiał się cicho.

Zamilkł zgaszony wzrokiem plutonowego. Zaklął cicho pod nosem i delikatnie wyciągnął z kieszeni papierosa. Chciał aby nowi widzieli, że nie jest tu zwykłym zupakiem i mają się go bać, bo inaczej z nimi porozmawia, gdy zostaną sami.

Dwuszereg stał nieruchomo, jakby nikt nie zwrócił uwagi na zachowanie kaprała. Leńczyk wytrzymał długą chwilę milczenia i uśmiechnął się

niespodziewanie do stojących, którym już się wydawało, że nie stać go na żaden ludzki odruch.

– Widzę, że na dobry początek muszę was trochę wyedukować, więc teraz będzie kilka zdań o tym, co was tu czeka. Słuchać uważnie, bo nie będę powtarzał!

Stanął na wprost dwuszeregu i kiwając się na butach, zaczął mówić, głosem lekko ściszone, ale na tyle donośnym, aby wszyscy dobrze usłyszeli, co ma do powiedzenia.

– Jesteście teraz w wojsku, a być żołnierzem to znaczy... Nie myśleć! Od tej chwili myślenie przejmuje za was podoficer. Im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej będzie dla was, dla plutonu i całego wojska. Gdy podoficer będzie twierdził, że drzewa stojące za wami nie są zielone, tylko białe, to znaczy, że te drzewa są białe i koniec rozmowy. Kto nie zrozumie tego prostego faktu, będzie miał w woju przesrane, a już szczególnie u mnie i innych podoficerów. A mieć u nas przesrane, to brak przepustek, służby poza kolejnością i inne nieciekawe sprawy, o których się sami wkrótce przekonacie. Więc nawet, jeśli macie pięć ukończonych fakultetów i wskaźnik IQ podobny co Doda, to morda na kłódkę! Tu jest wojsko, a nie szkoła i tu trzeba słuchać, czyli robić użytek z głowy i z tego, co jest w środku. Szkoła was tego nie nauczyła, ale daję wam słowo, że tutaj opanujecie tę czynność w sposób zadowalający.

Przerwał na chwilę, zaczerpnął powietrza, udając, że nie dostrzega poirytowanych spojrzeń kaprali, których w ten sposób pozbawił ulubionych fraz uświadamiających młodym żołnierzom, jak mają się zachowywać przez następne dziewięć miesięcy.

– Wasze najbliższe plany redukuję do następujących czynności: pobudki, ścielenia łóżek, robienia porządków, jedzenia i musztry. Trochę ćwiczeń fizycznych i zwiększona koordynacja ruchów, która nikomu jeszcze nie zaszkodziła. I tak będzie



do wieczora, a później będziecie mieli wolne. Czyli capstrzyk i spanie z rączkami na kołderce. Przypominam, że wszystko robicie na rozkaz swoich starszych kolegów...

Wskazał głową na stojących kaprali. Zauważył też, że jeden z nich ukradkiem pali papierosa, choć zwracał mu już wcześniej uwagę na niestosowność takiego zachowania. No cóż, wiedział, że będzie musiał z nim porozmawiać przed wyjazdem, aby przywrócić go do pionu. Wpływ na zachowanie kaprali miała informacja o jego niedalekim wyjeździe na misję i to właśnie spowodowało, że część z nich poczuła się zbyt pewnie w jego obecności. Ale póki co, jeszcze nie wyjechał. I nie miał zamiaru zostawiać tej sprawy niezakończoną.

– Kolega to może złe określenie, bo daję wam słowo, że wielu z was będzie ich serdecznie nienawidzić, ale każdy rozkaz musi być wykonany i to najszybciej, jak tylko się da. Mam nadzieję, że pluton należał do harcerstwa i lubi spacerować oraz śpiewać. Bo jeśli nie, to szybko się tego nauczy.

Kilka osób w dwuszeregu uśmiechnęło się niepewnie, co od razu zauważył. Czekał na ten moment, a nawet gdyby go nie było, to potrzebował tylko pretekstu, aby sprawdzić, czy znowu nie przysłano tu kogoś z widocznymi trudnościami ruchowymi.

– Widzę, że mamy już kilku ochotników do spacerowania ze śpiewem na ustach! Skoro tego chcecie, proszę bardzo...

Zrobił krok do tyłu i ruchem dłoni przywołał do siebie jednego z kaprali. Przypadkiem trafiło na tego z ukrytym papierosem w dłoni, a może nie był to przypadek, bo jednocześnie zadbał o to, aby ten nie upuścił papierosa na ziemię i teraz czuł, jak mu lekko przypieka wewnętrzną stronę dłoni.

– Pluton! Na moją komendę! – kapral był czujny i od razu wyczuł, co powinien zrobić. – Padnij!

Trudno to było nazwać padnięciem. Była to raczej próba położenia się łagodnie na podłożu, ponadto drugi szereg bardzo dbał o to, aby przypadkiem nie natknąć się

na buty poprzednika. Jednym słowem, karykatura wykonania tak prostego rozkazu, choć zauważył też kilku, którzy wykonali to poprawnie i szybko. To były właśnie te plusy, na których mu zależało. Trzeba było tylko sprawdzić, czy było przypadkowe, czy świadome działanie.

– Powstań! – wykonanie nie mogło wzbudzić u nikogo zachwyty, więc; – Padnij!... Powstań!... Padnij!... Powstań!... Padnij!... Powstań!... Biegiem marsz!

Zapanowało zamieszanie, bo nie każdy właściwie zrozumiał komendę. Ale po chwili za przykładem tych, co zrozumieli, cały dwuszereg dreptał w miejscu, starając się robić to w miarę równo. Co prawda takie sprawdzanie zostało jakiś czas temu zabronione, ale czego to człowiek nie zrobi, aby zobaczyć, kogo ma przed sobą.

– Zagęszczać ruchy! Jezu, panie plutonowy... – kapral odwrócił się w jego stronę ze zde gustowaną i zrozpaczoną miną. – Ta banda chujopłotów to chyba najgorsze lebiegi w całym wojsku, jakie nam się trafiły.

– Jasiński! Starczy tych komentarzy – przerwał mu w pół słowa Leńczyk, uważnie obserwując poborowych. – Wiecie, co macie robić?

– Tak jest! – kapral nie był zadowolony z reprimendy, jaką otrzymał przy wszystkich. – Pluton! Padnij! Powstań! Padnij! Powstań! Padnij! Powstań!

– Powiem wam tylko, że moja babcia przed śmiercią robiła to sto razy szybciej i lepiej od was – plutonowy skomentował ich bezowocne próby, uśmiechając się ironicznie. Jednocześnie dał znak kapralowi, że wystarczy tego pokazu na początek, bo to, co chciał, to już zobaczył. – Pluton! Baczość!

Przespacerował się przed frontem oddziału uważnie obserwując ich zachowanie i czując, że oni też go obserwują. Nie miał sobie nic do zarzucenia. Nie był może wysoki, ale krępy, krótko przystrzyżony, mówiący nieco nosowym głosem i w świetnej formie fizycznej, co można było od razu dostrzec. Z kieszeni na piersi wystawały czarne oprawki okularów przeciwsłonecznych, co może nie było całkiem zgodne z regulaminem, ale takie panowały trendy w wojsku. Zresztą nie miał nic

przeciwko wprowadzeniu takich i innych innowacji, na przykład żywcem ściągniętej z Zachodu naszywki Radka, czyli plakietki z nazwiskiem, którą każdy musiał nosić na prawej kieszeni. Było to dobre, bo od razu wiedziałeś kogo masz przed sobą. Z drugiej strony – z tych samych powodów określano je jako „donosicielki”, bo od razu zdradzały tożsamość.

– Tak na przyszłość, abyście wiedzieli, o co chodzi. „Padnij!” i „Powstań!”, macie wykonywać automatycznie. Jeśli stukniemy w dłoń, to jest padnij, stukamy drugi raz – powstań. I to nie może być rozlazły dźwięk jak sranie w kiblu w waszych rodzinnych domach. Jesteście wojskiem, a to znaczy jednym organizmem, więc chcę słyszeć jeden dźwięk. Zrozumiano?! Kaprale zadbają, abyście osiągnęli w tym biegłość. A wracając do meritum sprawy. Jeszcze jeden uśmiechnie się bez rozkazu, a obiecuję, że będzie to robił przez kwadrans w masce gazowej. Na czym to ja skończyłem? Aha. Jeśli ktoś wam powiedział w dawnym cywilnym życiu, że podoficer w wojsku jest jak ojciec i matka w domu... To was kurewsko okłamał! Nie będę żadnemu gnojkwowi podcierał tyłka lub wycierał nosa! Jestem tu nie po to, aby się wami opiekować, tylko żeby z was zrobić mężczyzn, a w jaki sposób to zrobię, to już jest tylko moja sprawa! Żeby było wszystko jasne od samego początku, demokracje i te inne bzdury, o których uczyli was w szkole, w mojej obecności nie obowiązują. Jakby jakiś łoś pobiegł na skargę do palant... Pana oficera... to niech lepiej od razu wyprosi u niego także zmianę jednostki i to na drugim końcu kraju. Tu nie ma czasu na myślenie i dyskusję, tu o waszym dalszym życiu decyduje...

Podszedł do najbliższego, wcześniej upatrzonego żołnierza.

– No, szeregowy... – Ten oczywiście nie miał jeszcze żadnej plakietki, więc nie mógł zwrócić się do niego po nazwisku. – Jak uważacie, kto decyduje?

Zapytany wyprostował się jeszcze bardziej, choć wydawało się, że bardziej już nie można, wstrzymał oddech i wydukał z siebie po chwili namysłu:

– Pan, panie plutonowy?!

– Dobrze kombinujesz i punktujesz dodatnio – stwierdził z zadowoleniem Leńczyk i podszedł do następnego. – Ale to nie jest dobra odpowiedź! A wy, szeregowy? Jak uważacie?

– Ooooficer?! – wykrztusił drugi, jękając się i krzywiąc jednocześnie twarz w grymasie wyrażającym zdenerwowanie. – Paaa, panie pluu... plutonowy.

– O kur... – Nie potrafił ukryć zdziwienia. Był niemal pewny, że trafił na doskonały materiał na podoficera, którego zamierzał wysłać do szkoły, a tu taka przykra niespodzianka. – Wy tak na co dzień, czy tylko dziś? Żeby mnie wkurwić?!

– Mellll... Melduję, że tyllko, jak się zde... zde... nerwuję...

Plutonowy zatrzymał się przy nim i przez chwilę przyglądał mu się z uwagą.

– Mówiliście o tym na komisji poborowej?

– Melll... melduję, że... że nikt nie pyyy... pytał.

– No tak. – Wiedział z doświadczenia, że komisje nie były zbyt drobiazgowe i jeśli ktoś ma całe nogi i ręce, to ma olbrzymią szansę, że wyjdzie z kategorią „A”, niech się martwią później w jednostkach. Komisja dała materiał do wojska i swoje wykonała, ona jest kryta. – Jesteście z poboru?

– Nie, paniie plu... plu... plu... plutonowy. Jaaaa... – zamilkł, dostrzegając uciszający ruch dłoni plutonowego, który obserwował go z coraz większą uwagą. To zacinalenie się było irytujące, wręcz jakby sztuczne, robione na złość, a poza tym stało się przyczyną, dla której inni poborowi zaczęli się czuć swobodniej. Jeden z drugim pozwolił sobie nawet na żart z powodu jękania kolegi, a tego nie można było tolerować. Szczególnie, jeśli była to poza.

– Słuchaj no, ty... – podszedł całkiem blisko i złapał go za guzik przy bluzie. – Jeśli robisz sobie jaja, to wiedz, że w tej chwili popełniłeś najgłupszą rzecz, jaką mogłeś uczynić. – Zwrócił uwagę na niespodziewany ruch w drugim szeregu przy końcu plutonu, gdzie stali niżsi żołnierze. To było niedopuszczalne, więc od razu zareagował. – Czy powiedziałem „Spocznij!”?

– Panie plutonowy! Szeregowy Jastroń w sprawie wyjaśnienia! – zabrzmiało z rejonu zamieszania. Głos był mocny, stanowczy i pewny swoich racji. Ponadto odezwał się jeden z żołnierzy, na których zwrócił wcześniej uwagę. Teraz też nie wyglądał na zestresowanego i przestraszonego całą sytuacją.

– Wystąp!

Przed szereg próbował wyjść jeden z żołnierzy. Próbował – to poprawne określenie tego, co chciał zrobić. Według regulaminu powinno to się odbyć w następujący sposób: żołnierz stojący w drugim szeregu dotyka dłonią ramienia stojącego przed nim, ten wykonuje krok naprzód, dostawia nogę i po sekundzie ustępuje, czyli robi krok w lewą stronę, po czym dostawia drugą nogę i zastyga w oczekiwaniu, aż żołnierz stojący za nim wystąpi dwa kroki przed szereg. Jak to już nastąpi, żołnierz przepuszczający prawą nogę przestawia ją na wysokość poprzedniego stania, ale nie w ukosie, tylko pod kątem prostym, dostawia drugą nogę, po czym robi krok do tyłu i zastyga w pozycji na baczność. Tak mniej więcej mówi regulamin, ale w tym przypadku stojący w pierwszym szeregu stał jak kołek i ani myślał zrobić jakiegokolwiek ruchu ciałem. Trudno powiedzieć, czy był tak zestresowany, czy robił to z rozmysłem. Szeregowy, który miał wystąpić, najpierw dotknął lekko ramienia, po chwili mocniej, w końcu po prostu przepchał się przez pierwszy szereg, stanął dwa kroki przed innymi i milczał, czekając, aż plutonowy do niego podejdzie.

– No, szeregowy... – Plutonowy zatrzymał się przed tym, który nie ruszył się z szeregu i pokiwał mu palcem przed nosem. – Ty to chyba będziesz miał u mnie przesrane, albo zaczniesz szybciej latać niż myśliwce na niebie. Przed kolacją masz opanować manewr przepuszczania kolegi z drugiego szeregu! I to krokiem defiladowym! Zrozumiano?!

Zapytany lekko przekręcił głowę, jakby starał się zrozumieć, co ten do niego mówi.

– Panie plutonowy, melduję, że źle słyszę na prawe ucho i jakby pan był tak miły i powtórzył to z drugiej strony...

Słowa „miły” i „powtórzył” wypowiedziane w wojsku nie brzmią dobrze i przede wszystkim na miejscu.

– Co?! Chcesz powiedzieć, że jesteś głuchy?! – Plutonowy nie udawał zdziwienia, był całkowicie zaskoczony, ale... odruchowo przesunął się na drugą stronę i dopiero wtedy zaskoczył, że to nie było to, o co mu chodziło.

– Nie będę miły! – wrzasnął z całych sił. – Melduj, co z twoim słuchem!

– Melduję, że od urodzenia noszę aparat słuchowy, ale pan kapral... – wskazał ruchem dłoni na jednego z wyprostowanych i wściekłych teraz podoficerów – kazał mi wypierdolić... To znaczy wyrzucić – poprawił się szybko – baterie z radia i zdjęć te cholerne słuchawki, jeśli chcę dotrzeć w jednym kawałku do przysięgi.

Plutonowy z trudem opanował się, odwrócił głowę i spojrzał na swoich kaprali zastanawiając się, który to był taki mądry. Od razu go rozpoznał.

– Wy dwaj! – wskazał na palacza i stojącego obok czerwonego na twarzy dryblasa. – Za dwie godziny u mnie. – I ponownie wrócił do szeregowca, starając się wymawiać poszczególne słowa wyraźnie i głośno, ale nie nadużywając głosu. – Co z tym słuchem? Zgłaszaliście na komisji?

– Nie dało rady, panie plutonowy. Na dzień dobry naskoczyli na mnie, że przychodzę na komisję, słuchając jakiegoś gówna. Że niby ich olewam, i że z takimi jak ja, to oni już dadzą sobie radę. Gdy chciałem pokazać dokumenty, że to aparat słuchowy, to przewodniczący komisji kazał mi te papiery wsadzić sobie w dupę... Znaczący w odpowiednie miejsce, bo tam, gdzie pojedę, to będę mógł słuchać Radia Maryja i to tylko w nocy.

– Pierdzie! – z niedowierzaniem pokręcił głową. – I ja mam w to uwierzyć?

– Melduję, że tak właśnie było – zapewnił wyprężony szeregowy. – Powiedziałem, że źle słyszę na prawe ucho, a pan kapitan odpowiedział, że to dobrze

się składa, bo nie będę musiał w to ucho wkładać zatyczki przy strzelaniu. Poza tym mam drugie, a rozkazy przekazuje się głośno, więc nie widzi przeciwwskazań, żebym odsłużył swoje dla ojczyzny. I kazał mi wyjść, bo może mnie skierować do gorszej jednostki. To co, miałem się kłócić z głupim?!

Uciszył go ruchem dłoni, w końcu nie mógł dopuścić do obrażania starszych rangą.

– Macie jakieś zaświadczenia lekarskie? – upewnił się.

– Tak jest, panie plutonowy. Chciałem pokazać panu kapralowi, ale powiedział, że mogę je sobie w kiblu powiesić. Nie był nimi zainteresowany!

– Od jutra będzie! – stwierdził krótko Leńczyk, z trudem powstrzymując się od przekleństwa. – A teraz idź na kompanię, zbierz swoje rzeczy i zamelduj się u lekarza z papierami. Tylko załóż od razu radio, bo znowu czegoś nie dosłyszysz i odeślą Cię do mnie. Zrozumiano?!

– Tak jest, panie plutonowy! – drzenie w głosie było wyczuwalne dla wszystkich, ale głośno potwierdził zrozumienie rozkazu, nawet nie spojrzawszy na plutonowego, co było o tyle łatwiejsze, że był od niego o całą głowę wyższy i zgodnie z regulaminem patrzył przed siebie, a nie w jego oczy.

– Żwierowicz!

Przed plutonowym natychmiast stanął czerwony na twarzy kapral.

– Pójdziecie z szeregowym i dopilnujecie, żeby lekarz zrozumiał, o co chodzi. Przy okazji, niech wam też przemyje uszy, może zaczniecie myśleć – zakończył cicho, aby słyszał go wyłącznie kapral. – Wykonać!

– Tak jest, panie plutonowy! – kapral nie wyglądał na szczęśliwego, ale plutonowy już się nim nie interesował, skupił swoją uwagę na poborowym stojącym przed szeregiem. Musiał przyznać, że na tle pozostałych pozytywnie się wyróżniał, miał w miarę dopasowany mundur, buty odpowiednio błyszcząły, to samo pas, nawet czapka była prawidłowo założona, a i włosy przycięte regulaminowo, bez ingerencji

wojskowego fryzjera, który jechał po prostu maszynką po całej głowie i nic go więcej nie interesowało. Widać było, że chłopak ma pojęcie o wojsku i przyszedł tu odpowiednio przygotowany.

– No... Szeregowy Jastroń. – Dał wszystkim do zrozumienia, że zapamiętał już jego nazwisko i ten załapał tak zwanego plusa. – Wyjaśnijcie.

– Panie plutonowy! – szeregowy lekko wypiął pierś, aby podkreślić, że wykonuje rozkaz swojego przełożonego. – My z Jankiem... To znaczy z szeregowym Krawczukiem – ruchem głowy wskazał w stronę jąkały – pochodzimy z jednej miejscowości, nawet chodziliśmy do tej samej szkoły i on rzeczywiście od małego się zacina.

– Znaczy się, kolega czy przyjaciel?

Szeregowcowi lekko drgnęła warga, jakby dopiero teraz zaczął się zastanawiać, czy dobrze postąpił, wychodząc przed szereg.

– Przyjaciel to za dużo powiedziane, panie plutonowy. Po prostu znajomy, razem byliśmy na komisji i razem tu nas dali. My tu na ochotnika, panie plutonowy.

– Ochotnicy? – zdziwił się plutonowy. – To w tym kraju są jeszcze tacy?

– Nie wiem, jak inni, panie plutonowy, ale my z szeregowym Krawczukiem zgłosiliśmy się na ochotnika.

– A dlaczego na ochotnika? – drażył dalej plutonowy, obchodząc stojącego szeregowego wokół. Nagle przystanął za nim i głośno zaznaczył. – Tylko nie pieprzcie mi tu o obowiązku i ojczyźnie!

– Tak jest, panie plutonowy! – Jastroń podkreślił szacunek dla rozmówcy lekkim wypięciem piersi. – Tak naprawdę to tam, gdzie mieszkamy jest bezrobocie, dwa zakłady pracy na krzyż, a bez znajomości to możesz, co najwyżej pójść do kościoła. I to, jeśli jest akurat otwarty. Szkoła nigdy nie była moim ulubionym miejscem, więc gdy skończyłem liceum... – dostrzegł wyraziste spojrzenie pozostałej



kadry, która chyba nie przepadała za absolwentami szkół średnich i od razu zaznaczył: – Od razu zgłosiłem się do wojska.

– Dlaczego? – nie odpuszczał plutonowy.

– Melduję posłusznie, panie plutonowy, że będę się starał na nadterminowego!

Z widoczną ulgą spojrział na plutonowego, zadowolony, że wreszcie wyrzucił z siebie to, co do tej pory skrywał bardzo głęboko.

– Toś ty większy pojeb, Jastroń, niż mi się wydawało na początku – stwierdził krótko plutonowy – Jeśli masz maturę, jak twierdzisz, to możesz śmiało iść do szkoły na oficera – zaznaczył, podkreślając ostatnie słowo bardzo przeciągle.

– Melduję posłusznie, że nie chcę być oficerem.

– A czemu to, szeregowy Jastroń, nie chcecie być oficerem? – Leńczyk próbował zaznaczyć głosem swoje prawdziwe zdziwienie. – Wy nawet nie wiecie, jak to dobrze być w wojsku oficerem. Służba od siódmej do piętnastej. Normowany czas pracy. Ładny mundur. Walenie honorów starszym rangą i lizanie im tyłków – bez zająknięcia wymieniał główne pozytywy bycia oficerem. – Jeśli marzy ci się szybki awans, to musisz zadbać o dobre układziki z szefem sztabu, kapelanem, dowódcą kompanii, jego żoną i resztą babińca. A później masz z górki. Opierdalenie kadry podoficerskiej, że wojsko chodzi jak ostatnie łajzy, szukanie dwóch sztuk łusek, bo po strzelaniu okazuje się, że stan wydanych naboju nie zgadza się ze zwróconymi łuskami. Prostowanie trawy przy palarni szwejami, bo major was opierdolił i trzeba się na kimś wyżyć. No i oczywiście zero zaległości w pracach koncepcyjnych, wykonanie zadań na papierze i powodowanie zero kłopotów dla przełożonych. Za dawnych czasów szybko otrzymałbyś mieszkanie, ale teraz jesteś w kolejce za kapelanem, ministrantami i innymi przydupasami – zaznaczył o wiele ciszej, zerkając wymownie w stronę kaprali. – To jest dopiero życie, a wy wpierdalacie się w najgorszy syf w armii i robicie to jeszcze na ochotnika?! I to do

naszej jednostki na zwykłego zajęcia, gdzie z góry wiadomo, że dostaniecie tak w dupę, że aż zapomnicie swojego nazwiska? O to wam chodzi?! – dziwił się.

– Melduję posłusznie, że nie, ale... – szeregowy przerwał, nie kończąc, jakby zaskoczony swoją odwagą.

– W wojsku, Jastroń, nie istnieją słowa „ale” i „ole”! Tu nie Hiszpania, tu olewać mogą tylko wyżsi od was rangą. Ale mówcie, o co wam chodzi.

– Melduję, że w domu się nie przelewa i chciałem odciążyć rodzinę. Poza tym nie mam głowy do nauki ani forsę na płatne studia. Jestem za biedny – zaznaczył głośniej – choć nie ukrywam, że na komisji przedstawiono mi taką propozycję.

– To rozumiem – stwierdził plutonowy. Ale nie uznał rozmowy za zakończoną. – I uważasz, że ustawisz się w woju, zaczynając od szweja?!

– Melduję, że na nic nie liczę! Będę się starał, aby swoją postawą zasłużyć na zostanie nadterminowym, a później będzie, co ma być.

– Zasuwasz jak kapelan z ambony – stwierdził plutonowy uśmiechając się w stronę pozostałych podoficerów, którzy stali znudzeni pod ścianą, nie próbując wtrącić się do rozmowy. – Obaj chcecie się zakotwiczyć w wojsku? – Ruchem głowy wskazał w stronę szeregowego Krawczuka, który, stojąc na baczność, zerkał w ich stronę i z uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

– Melduję, że takie były nasze plany.

– On zapewne chce być dowódcą kompanii – zażartował, zerkając na Krawczuka, który zaczerwienił się na twarzy. – A ty?

– Melduję, że nie każdy żołnierz musi wydawać rozkazy – odpowiedział Jastroń, czując się coraz pewniej. – Szeregowiec Krawczuk jest silny, sprawny fizycznie, niewielu z nas dorówna mu kroku podczas marszobiegów. W naszej drużynie specjalizował się w kartografii, specjalnie ćwiczył kaligrafię i żadna broń nie ma przed nim tajemnicy. Jeśli zostanie w wojsku, to będzie doskonałym rusznikarzem lub podoficerem tajnej kancelarii.

– Widzę, że rozdzielasz stanowiska – zauważył plutonowy. – Nie za szybko?

– Zrozumiałem, że pan plutonowy pozwala mi na prywatną wypowiedź.

– To byłeś w błędzie! Wspominałeś coś o drużynie? Co to było?

– Combat 6! – Jastróż po raz kolejny wyprężył się przed plutonowym.

– Nie znam... – stwierdził plutonowy, zerkając na pozostałych rekrutów. Po raz pierwszy w czasie swojej służby pozwolił sobie na tak długą rozmowę z jednym poborowym; to było podobno niewychowawcze. Ale miał to gdzieś, w końcu i tak za kilka dni będzie już gdzie indziej, a rozmowa z poborowym po prostu go wciągnęła i nie miała nic wspólnego z dotychczasowymi doświadczeniami. Poza tym czuł, że ten chłopak, który teraz stoi przed nim, może być za kilka miesięcy doskonałym podoficerem i szczerze mówiąc, nie miał nic przeciwko temu. Więcej, postanowił, że postara mu się w tym pomóc wysyłając go do szkoły podoficerskiej. – Ten Combat to jakaś grupa paramilitarna?

– Tak jest, panie plutonowy.

– Kto dowodził? Emerytowany oficer? – spytał z przekąsem, zastanawiając się, dlaczego tak niewielu młodych ma przed wojskiem jakikolwiek kontakt z takimi grupami, gdzie mogliby zdobyć odpowiednie przygotowanie. Za dawnych czasów, tych złych i niewłaściwych, których osobiście nie pamiętał, emeryci wojskowi byli chętnie zatrudniani w szkołach do nauki przysposobienia wojskowego. Co prawda to często nie miało nic wspólnego z rzeczywistością wojskową, ale jakieś pojęcie o nim dawało. Poza tym, jeśli nauczyciel dobrze wykonywał swoje obowiązki, to wokół niego pojawiał się krąg młodzieży, którą pociągał wojskowy dryl i przygoda.

– To jak? Kto wami dowodził?

– Szeregowy Waclaw Nieprzytupski, nauczyciel z naszej szkoły, panie plutonowy.

Zaskoczyła go ta odpowiedź, mógł się spodziewać wszystkiego, ale nie tego. Emerytowanego oficera, który chciał się dowartościować i pobawić w wojsko z

młodzieżą, ewentualnie jakiegoś starszego podoficera, który nie miał co robić w wolnym czasie, a nie wyrósł jeszcze z drylu wojskowego. Wreszcie „chorego” – w tym dobrym znaczeniu – komandosa, który przestał być na tyle sprawny, żeby dłużej pozostawać w czynnej służbie, a nie zgodził się pracować za biurkiem. Ale szeregowy? Takie wytłumaczenie było dla niego nie do przyjęcia.

– Lejesz wodę, Jastroń, a my tego nie lubimy – stwierdził krótko, patrząc mu prosto w oczy. – Jak szeregowy może dowodzić drużyną?

– Pan Waclaw chciał być oficerem. Po złożeniu papierów do szkoły zgłosił się na kurs spadochronowy – szeregowy nie uciekał wzrokiem, jakby w ten sposób chciał udowodnić, że nie kłamie. – Podczas trzeciego skoku spadochron źle się rozłożył i doszło do wypadku. Lekarze w szpitalu coś schrzanili i w efekcie ma jedną nogę krótszą. Komisja ze względu na stan zdrowia odrzuciła jego podanie i przeniosła do rezerwy. Został nauczycielem fizyki i założycielem drużyny paramilitarnej. Mimo jego ułomności, nikt z nas nie mógł mu dorównać. Mój brat czasami mu pomaga.

– Dobra – plutonowy przerwał mu ruchem dłoni. – Dość tych łązawych opowieści o tym, jak to biedny i nieszczęśliwy kaleka robi cuda na zapomnianej prowincji. Twój brat też jest nieszczęśliwy i walnięty po rozumie, żeby z kuternogą biegać ze szczawikami po lasach i udawać żołnierzy?!

Obserwował, jak zmienia się wyraz twarzy szeregowego. Najpierw pojawiło się niedowierzanie, że ktoś odważył się coś takiego powiedzieć, następnie gniew i próba zapanowania nad pierwszym odruchem, który był dla wszystkich oczywisty. Leńczykowi nie podobał się tylko lekki uśmiech, jaki dostrzegł przez ułamek sekundy w jego oczach.

– Tak jest, panie plutonowy! – szeregowy Jastroń mówił głośno i bardzo wyraźnie. – Melduję, że mój brat jest także nieszczęśliwy i walnięty... po rozumie!

– Rozumiem. – Leńczyk czuł podświadomie, że sam wszedł na minę, ale nie widział, jak się z tego wycofać. Nie chciał nikogo urazić – ani poborowego, ani tym bardziej ludzi, którzy z pasją oddają swój czas młodzieży. Teza, że najlepszym sposobem obrony jest atak, wydawała mu się dobrym wyjściem. – A on, co? Zakochał się i stracił możliwość logicznego myślenia?! – obserwował, jak grymas zniecierpliwienia wykrzywia usta szeregowego. – A może ma platfusa i także marzył o wojsku, a ono go olało?

– Paaaanie plu... tonowy – odezwał się niespodziewanie szeregowy Krawczuk, występując dwa kroki naprzód. – Oon jeeest... na miisji... w Li... Libanie. Jeest zawodowym zoolnierzem.

– O!... – chciał przekląć, ale uznał, że to nie byłoby wskazane – To znaczy, że jest misjonarzem! – stwierdził krótko, dając znak dłonią, aby Krawczuk zajął miejsce w szeregu. – Jaki ma stopień i gdzie stacjonuje w kraju? – To pytanie było skierowane do szeregowego Jastronia.

– Melduję posłusznie, że brat służy w Jarosławiu. Na misji służy jako szeregowy!

– A jaki ma stopień w swojej jednostce?! Też szeregowy nadterminowy?

– Melduję posłusznie, że jest... – uśmiech rozbawienia zagościł na sekundę w oczach Jastronia, ale szybko zgasił ten przeblýsk triumfu i zachował kamienną twarz – nieszczęśliwym i walniętym po rozumie panem plutonowym, panie plutonowy!

Wszyscy stojący w dwuszeregu, którzy od dłuższego czasu z uwagą przysłuchiwali się rozmowie, parsknęli śmiechem na cały głos, po czym momentalnie zamilkli zgaszeni posepnym wzrokiem plutonowego.

– Był rozkaz śmiać się?! Lubicie zabawę w słoniki?! – zapytał retorycznie plutonowy. Poczekał, aż dwuszereg ponownie zastygnie w postawie na baczność i ponownie skupił uwagę na Jastroniu. – Myślisz, że to było śmieszne, szeregowy?! Robisz sobie jaja z przełożonego?!

– Melduję posłusznie, że to nie było śmieszne, panie plutonowy! – odpowiedział zapytany, z trudem utrzymując powagę. – Ale odpowiadałem na pytania pana plutonowego.

– Po pierwsze, w wojsku nie używamy słowa „ALE”! – brzmiał mu tuż przy uchu plutonowy, który także z trudem utrzymywał powagę. – Po drugie, nie odpowiadał na pytanie, ale meldował na temat zadanego zapytania! Po trzecie – tu ściszył głos, i zachowując kamienny wyraz twarzy, wyszeptał mu do ucha tak cicho, że nikt po za nimi dwoma nie mógł tego słyszeć – to rzeczywiście było śmieszne i wesołe... Nieszczęśliwy i walnięty pan plutonowy, panie plutonowy. Myślisz, a to mi się podoba, ale nie przekraczaj pewnej granicy, bo nie każdy to tak przyjmie jak ja. Zrozumiano?!

– Tak jest, panie plutonowy! – zapewnił szeregowy. – To się więcej nie powtórzy.

– Jestem tego pewny – spojrzał na Jastronia z uwagą. – Powiedźcie mi jeszcze, dlaczego przyszlście tutaj, a nie do Jarosławia. W jednostce, gdzie służy brat w służbie zawodowej, byłoby wam łatwiej. W każdym razie załapać się na nadterminowego.

– Melduję, że mogę na to odpowiedzieć tylko na osobności, panie plutonowy! – Zaskoczenie na twarzy plutonowego było zbyt wyraźne, aby Jastroń nie posunął się dalej. – Używając dosłownych i raczej dosadnych słów mego brata, mógłbym urazić uczucia religijne i obyczajowe wszystkich tu obecnych, a tego chciałbym uniknąć.

– Oj, doigrasz się szeregowy, doigrasz. Chcesz powiedzieć, że my – tu wskazał na siebie i wyraźnie zainteresowanych kaprali – mamy mniejszy zasób słów niż jakiś niedopieczony plutonowy z Jarosławia?! Szybko się przekonasz, że twój brat to przy nas mały pikuś. Co powiedział?

– Panie plutonowy, na pana odpowiedzialność...

Plutonowy wstrzymał go ruchem dłoni.

– Powiedzcie to tak, aby nie urazić uszu waszych kolegów. Szeregowy, mówcie bez wulgarności!

– Tak jest, panie plutonowy! – Jastroń wstrzymał oddech, aby zyskać chwilę czasu na ułożenie odpowiedzi i wypalił, wypinając pierś. – Powiedział, że w jego jednostce wystarczy jeden pierdolnięty Jastroń, a obecności dwóch takich debili, to nawet jego walnięty dowódca jednostki nie wytrzyma. A jak się pojawię u nich w jednostce, to zrobi wszystko, abym odszedł do cywila szybciej, niż zgłosiłem się na ochotnika, bo dzisiejsze wojsko to syf, kiła i rezerwat starych grzybów.

Chciał mówić dalej, ale posłusznie przerwał na znak plutonowego.

– Twój brat, szeregowy, w odróżnieniu od was, to bardzo mądry człowiek – stwierdził spokojnie plutonowy, z uznaniem kręcąc głową. – Mimo, a może właśnie dlatego, że jest plutonowym i wie, o co chodzi w wojsku. – Wskazał dłonią na pobliski plac manewrowy. – Widzicie ten plac?

– Tak jest, panie plutonowy... Jedno okrążenie wokół? – spytał domyślnie szeregowy.

– Jedno? – zdziwił się plutonowy z uśmiechem. – Jastroń, lepiej was oceniam.

– Dwa? – spytał Jastroń z nadzieją w głosie.

– To tylko jeden kilometr, więc co najmniej pięć – jedno spojrzenie wystarczyło, aby zauważył, że nikt z poborowych nie stoi na baczność. – Nie pamiętam, abym podał komendę „Spocznij!” – zaznaczył, spoglądając na nich surowo. – Żołnierz nic nie robi bez rozkazu, więc aby ta reguła weszła wam w krew i żeby waszemu koledze nie było nudno, pozostali będą mu towarzyszyć przez cztery okrążenia. Ostatnie pobiegnie na czas, sprawdzimy jaki jest dobry.

Dokładnie w tej samej chwili odezwała się komórka w jego kieszeni. Nie krępując się, wyciągnął ją z kieszeni, zerknął kto dzwoni, ciężko westchnął i schował go z powrotem.

– Idę do szefa. Dawniej to przysłałoby dyżurnego, a teraz wysyłają SMS-a na prywatną komórkę. Nic dziwnego, że wojsko się nudzi i głupoty im chodzą po głowie – nie krył goryczy w swoim głosie. – No, panowie poborowi, pora na zaprawę. Jedno okrażenie tak jak stoicie, a następne w stroju do zaprawy. Czy ktoś wie, jak wygląda strój do zaprawy? – zapytał retorycznie, nie spodziewając się odpowiedzi. – Szeregowy Jastroń, skoro jesteś taki mądry, może nas oświecisz?

– Tak jest, panie plutonowy. Trampki – moro, góra – skóra, dół – BeGieEsy!

– Co? – zdziwił się, słysząc poprawną odpowiedź. – Co to było ostatnie?

– Bojowe Gacie Sportowe.

Poborowi zaśmieli się cicho, jakby nie byli pewni, czy mogą, i poganiani przez kaprali ruszyli wykonać swoje pierwsze zadanie w wojsku.

Wchodził na kompanię, gdy coś go tknęło. Przystanął w drzwiach i spojrzał na nowych poborowych biegających po placu. Nie zdziwił się, gdy dostrzegł kaprali stojących razem w jednym miejscu i palących papierosy, zamiast nadzorować poborowych. Tam gdzie stali, widzieli cały plac i w każdej chwili mogli interweniować, choć według regulaminu powinni biec z poborowymi. To było po prostu silniejsze od nich, przyzwyczajenie wyssane z mlekiem matki, taki program w głowie: nie napracować się powyżej tego, co musisz, i zorganizować pieniądze, aby starczyło na następną butelkę. Nazywał to syndromem małego pijaczka, choć oni na pewno nie byli pijaczkami, po prostu utożsamiali się z zasadą: jak najmniej pracy, jak najwięcej korzyści. Obiecał sobie, że popracuje nad kapralami i przypomni im, jak ma wyglądać wzorowa służba, bo to, że on wyjeżdża, wcale nie znaczy, że można olewać służbę. W każdym razie w jego plutonie, bo on tu wróci po misji i chce mieć wojsko, a nie zgraję niedopieczonych chłoptasiów.

Zerknął jeszcze na biegnących. Tak jak przypuszczał, na czele biegł szeregowy Jastroń i Krawczuk, dyktując ostre, ale stałe tempo więc tylko kilku kolegów



próbowało dotrzymać im kroku, ale od razu było widać, że brak im treningu. Po nich – spora przerwa, a później długi szereg, który był zainteresowany wszystkim, tylko nie tym, co w tej chwili wykonywali. Na samym końcu dreptało dwóch najgrubszych spośród poborowych, próbując co kilka kroków podbiec, aby za bardzo nie zostać z tyłu. Jednym słowem – kolejni ministrowie plotą bzdury na temat wychowania patriotycznego zamiast przekazać pieniądze na przygotowanie fizyczne przyszłych poborowych.

Z przyzwyczajenia przeszedł pokój ogólny i bez pukania wszedł do gabinetu zajmowanego przez szefa kompanii, ignorując rozpaczliwe gesty jednego z jego podwładnych. I po raz kolejny stwierdził, że w końcu musi się jednak nauczyć pukać.

Starszy sierżant Zdenkiewicz gorączkowo wciskał coś pod biurko, zaskoczony jego nagłym wejściem. To, co z takim mozołem wciskał, przypominało Leńczykowi ostatniego „Playboya” lub podobne pisemko. Odczekał, aż szef wciśnie dowód zbrodni w szufladę biurka, udając, że nie dostrzegł nic dziwnego w tym, że sierżant w godzinach urzędowania ma czas na oglądanie prywatnych czasopism. Każdy mógłby powiedzieć „A jaki to kłopot, schować w szufladzie biurka jakąś tam gazetę?” i zapewne miałyby rację, ale jak się ma czterdzieści, pięćdziesiąt kilogramów nadwagi przy wzroście stu siedemdziesięciu centymetrów, a pokój, w którym się urzęduje, nie jest salonem w eleganckiej willi, lecz przypomina spiżarnię w zapomnianym domu ogrodnika, to wtedy jest to problem. Już sam sposób, w jaki sierżant szef wciska się w niewielkich rozmiarów fotel za biurkiem, powodował że jak najrzadziej się z niego podnosił. Kiedyś chcieli mu wymienić fotel na nowszy, większy model, ale okazało się, że wtedy musiałby zrezygnować z biurka, albo z szafy z dokumentami stojącymi tuż za fotelem, a na to sierżant nie wyraził zgody. Tak samo zresztą jak odrzucił propozycję przejścia do innego, większego pokoju, co wiązało się z tym, że musiałby częściej przemieszczać się po korytarzach. Nie było możliwości, aby przeniósł tam całą swoją kancelarię, nad którą miał skrupulatną i wnikliwą pieczęć.

Wojsko wszystkim kojarzy się z grupą mężczyzn, którzy są cały czas sprawni fizycznie, szczupli – oczywiście bez przesady – i gotowi do ciężkiej, wydajnej pracy, wykonywanej bardzo często w ekstremalnych warunkach; którzy dla współobywateli i ojczyzny są gotowi na wiele wyrzeczeń i cierpień. I mają jak najbardziej rację, bo to jest idealny wizerunek żołnierza, do którego nie pasuje niestety sylwetka starszego sierżanta sztabowego Zdenkiewicza. Z jakichś genetycznych powodów, sylwetka starszego sierżanta upodobniła się do sylwetki: falite. Dokładnie oznaczało to, że sierżant miał sylwetkę najbardziej zbliżoną do gruszki. Czyli mówiąc wprost, dupę miał jak szafa czterodrzwiowa, podczas gdy reszta ciała nie odbiegała od normy. Szczególnie, gdy siedział za biurkiem, częściowo ukryty za komputerem, wtedy nikt nie mógł podejrzewać, że coś jest nie tak z jego gotowością bojową. Gorzej było, gdy ktoś spotykał sierżanta podczas jego przemieszczania się po korytarzach jednostki. Tajemnicą poliszynela pozostawało, jak sierżant przechodził obowiązkowe w wojsku testy sprawnościowe. Szczerze mówiąc, nikt nie pamiętał, aby wyżej wymieniony był w ostatnich dziesięciu latach kiedykolwiek na strzelnicy, nie mówiąc już o basenie, choć wielu chciałoby to zobaczyć. Jednakże wszystkie testy miał zawsze zaliczone z oceną „dobry” – i każdy, kto miał kapinkę oleju w głowie, nie próbował negować tych wyników, nawet jeśli sam otrzymywał słabą trójkę i dowódca jednostki pozbawiał go premii.

Były pewne rzeczy, które rekompensowały jego niedostatki fizyczne i powodowały, że bezpośredni przełożeni nie chcieli dostrzec niedoskonałości ciała, choć sierżant sam dbał o to, aby nikt postronny nie oglądał go w całej krasie i miał na to sprawdzony, oraz prosty sposób. Pojawiał się w jednostce przed wszystkimi i zaszywał się w swoim królestwie. Bardzo szybko okazało się, że bez niego funkcjonujący tu system zawali się jak domek z kart, ponieważ bez zaglądania do komputera wiedział, gdzie i w którym skoroszybie są potrzebne dane niezbędne przełożonemu. Poza tym nigdy nie zawalił żadnego sprawozdania, a kończył pracę i

wyjeżdżał z jednostki, gdy już nikogo z dowództwa nie było. Miał jeszcze jedną dodatkową zaletę – znał wszystkich ważnych podoficerów w armii, przez co potrafił dotrzeć do informacji wcześniej niż specjalistyczne służby wywiadowcze, wiedział z wyprzedzeniem, kiedy i kto przyjedzie na kontrolę do jednostki, kto i kiedy dostanie awans lub przeniesienie do innej jednostki. Oraz potrafił załatwić telefonicznie każdą rzecz, jaką ktokolwiek potrzebował. Mówiło się, że zna każdego i z każdym jest na „ty”, choć tylko dwa procent tych osób widziało go osobiście.

Starszy sierżant miał swój sposób na podtrzymywanie znajomości i to im bardziej zależało, aby znaleźć się na jego liście znajomych. Każdy z listy otrzymywał raz w roku – z okazji urodzin – przesyłkę z prawdziwym rarytasem, o którym zawsze długo pamiętano, chociaż został już dawno... wypity. Nalewki, które z upodobaniem przyrządzał w domu, po służbie, były najbardziej poszukiwanym prezentem dla każdego obchodzącego jakiegokolwiek święto. Legendy o zasobach jego piwniczki były powszechnie znane, ale mało kto z jednostki mógł się pochwalić, że kiedykolwiek przekroczył próg tego sezamu, ponieważ starszy sierżant przyjmował u siebie nielicznych szczęśliwców. Odwiedzający musiał się sporo namęczyć, zanim został mu wyznaczony termin wizyty, co wcale nie znaczyło, że wychodził obdarowany jakimś skarbem z piwnicy. Nawet przełożeni sierżanta nie byli zapraszani na prywatne spotkania, a niektórzy przywykli już do tego, że sierżant przypominał sobie o służbowym wyjeździe, gdy tylko zaczęli się wpraszać z wizytą. Z drugiej strony potrafił powiedzieć w oczy dowódcy okręgu, że wyjeżdża i nie ma dla niego czasu, a na takie postępowanie niewielu miało odwagę.

Co najdziwniejsze sierżant Zdenkiewicz był abstynentem i domatorem. Zresztą nie musiał nigdzie chodzić, bo armia zapewniała mu wszystko, czego potrzebował, a ponieważ nie miał szczęścia do kobiet, dawno dał sobie z nimi spokój. Co nie znaczy, że zadowalał się sam lub przerzucił swoje zainteresowania na inną płęć. Raz w

miesiącu odwiedzała go pewna pani, niekoniecznie z agencji. I to mu wystarczało, a jednocześnie nie rzutowało na jego dyspozycyjność wobec służby.

Były oczywiście osoby, które miały pewne przywileje i choć nie było ich wielu, to plutonowy był na tej liście, a dowódca jednostki i sporo wyższej kadry już nie.

– Wchodzisz jak do chlewa! – zrugął plutonowego dopychając szufladę brzuchem. – U was w domu nadal nie ma drzwi i snopkami je zawierasz?

– Przepraszam, szefie. – Plutonowy uniósł dłonie do góry w geście przeprosin, ale nie zamierzał wychodzić z pokoju. – Zamyśliłem się...

– Zamyślił się, jeszcze moment, a powie, że w ogóle myślał – sierżant zaśmiał się ironicznie, patrząc mu w oczy. – Od kiedy plutonowy umie myśleć? Słyszałem, że ten przywilej przysługuje od sierżantów wzwyż. Mogę się założyć, że właśnie tę wersję sprzedawałeś przed chwilą poborowym?

– Przed szefem nic się nie ukryje. – Plutonowy z trudem sadowił się na niewielkim stolku ustawionym przy biurku. Stolek stał tam nie bez powodu: był na tyle niewygodny i na dodatek bez oparcia, że każdy, kto w pierwszej chwili chciał w tym pomieszczeniu dłużej pobyc, od razu rezygnował z tego pomysłu. Załatwiał swoje sprawy jak najszybciej i znikał w czeluściach korytarza. – Tym razem wprowadziłem jednak pewną zmianę. – Odczekał, aż sierżant ruchem brwi wyrazi zainteresowanie. – Tak naprawdę, to myślą plutonowi, a sierżanci to taka niedopracowana namiastka oficerów, im myślenie nie przystoi. W każdym razie korzystają z tego wybiórczo.

– Uśmiełem się – stwierdził ironicznie sierżant Zdenkiewicz krzywiąc twarz z dezaprobatą. – Teraz rozumiesz, dlaczego tobie podobni są dożywotnikami plutonowymi, a tacy jak ja starszymi sierżantami.

– Ale też dożywotnikami – złośliwie zauważył plutonowy, uśmiechając się szeroko i nic sobie nie robiąc z surowej miny Zdenkiewicza.

– Owszem, ale z własnego wyboru. – Po raz pierwszy sierżant się uśmiechnął. – Tobie jeszcze długo nikt nie zaproponuje awansu, a ja przez ten czas miałem już trzy propozycje awansu na chorążego.

– I tego nie rozumiem. – Plutonowy oparł łokieć na biurku i patrzył sierżantowi prosto w oczy. – Szefie, czemu nie skorzystałeś z okazji? Chorąży to większe pobory, większa emerytura. Można powiedzieć, że to prawie oficer.

Sierżant zamiast odpowiedzieć, rozejrzał się po swoim pokoju, rozłożył ręce w geście bezradności i ponownie skupił uwagę na plutonowym.

– A co z tym? Przecież nikt poza moją skromną osobą nie jest w stanie nad tym zapanować! Dobrze, gdy człowiek wie, gdzie jest jego miejsce i nie marzą mu się salony. Jestem prostym sierżantem, który wykonuje dobrze, mam taką nadzieję, swoją pracę. Szanują mnie, więc nie widzę powodów, aby na siłę szukać awansów. Iść w oficera i szwendać się po sztabie, szczególnie z moją sylwetką? – pokręcił przecząco głową. – To najlepszy sposób, aby załapać się na przyśpieszoną emeryturę, a mnie się tam jeszcze nie śpieszy. W domu też nikt na mnie nie czeka.

Zaśmiali się obaj i spojrzeli na siebie z sympatią.

– Jak wspomniałem – ciągnął dalej sierżant – prosty człowiek nie potrzebuje wiele do życia. Mógłbym ci wymienić wszystkich ministrów obrony, kolejnych dowódców naszej jednostki, multum politruków, którzy zostali kościelnymi klęcznikami. Wszyscy oni BYLI! A ja nadal tu jestem. Kto z nas jest bardziej potrzebny wojsku? Ja czy oni? – spytał retorycznie. – Myślisz, że ktoś by mnie tu trzymał, gdyby znaleźli innego głupiego na to stanowisko? Ale mam nad nimi przewagę, bo wiem, że bez dobrego podoficera logistyki cała ta wielka i nowoczesna armia jest gównem warta. Gdy zabraknie mydła, paliwa, żarcia, prądu, to cała ta armia jest tylko zgrają przypadkowego tałatajstwa, która co najwyżej może się obrzucać kamieniami. Tu – wskazał ręką na półki pełne skoroszytów – jest krew wojska, dzięki któremu ono żyje. Głupi powie, że to tylko papiery i cyfry, ale bez tych papierów

żaden z tych wielkich wojaków nie miałby gaci na dupie i nadal chodziłby ubrany w skóry i machając maczugą.

– Którą zapewne ty byś musiał mu załatwić – zaśmiał się plutonowy. – Chcesz być generałem papierów i cyfr, twój wybór. Ja wolę karabin w dłoni.

– Bo jesteś młody i głupi. A co do generałów, to daj mi jednego, który byłby w stanie opanować ten bajzel, to przez tydzień będę ciebie w tyłek całował przed frontem kompanii. Oni są dobrzy w salonach, do wydawania rozkazów, ale nie tu. – Uderzył dłonią w biurko. – Tu trzeba pracować głową, nie tylko wtedy, gdy jest spokój ale także, gdy latają nad głową pociski. Choć znam kilku, którzy wolą pociski i twardą ziemię od biurka zasłanych papierami, ale to są wyjątki wśród tej zgrai bażantów i pawli.

– Jakoś nie wyobrażam sobie sierżanta pod gradem kul – zaśmiał się plutonowy chrapliwie, zerkając, czy aby nie uraził sierżanta swoją wypowiedzią. Uspokoił się, widząc, że na twarzy pojawił się uśmiech.

– Ja też – sierżant rechotał zadowolony. – Jakkolwiek bym nie leżał, to i tak moja dupa wystawałaby pół metra nad powierzchnią ziemi, a póki co, to w naszej armii nie przewidziano specjalnego dupnego metalowego okrycia dupnej części ciała. Zresztą o takim obwodzie to produkują tylko kołnierze do czołgów – śmiał się coraz głośniej. – Od razu dostałbym po garach i trzeba by było wołać pluton łapiduchów, aby mnie przetoczył do punktu sanitarnego, albo zamówić SPNST. – Dostrzegł zdziwione spojrzenie plutonowego, który nie przypominał sobie takiego skrót. – Musisz się jeszcze sporo nauczyć – stwierdził krótko. – SPNST to Samodzielny Punkt Naprawy Sprzętu Transportowego. Jak widzisz, na polu walki żaden ze mnie pożytek, chyba że... – twarz rozjaśniła mu się nowym pomysłem. – Jakimś cudem podłączycie mnie pod dyszę miotacza gazu. – Był tak uradowany, że na jego twarzy pojawiły się łzy, które począł ścierać dłonią. – Tylko, że w naszym wojsku... Zanim by mnie dopuścili do użytku bojowego... – Z trudem łapał powietrze pomiędzy

atakami rehotu. – Musieliby mnie sprawdzić na poligonie. Następnie przeprowadzić badania organoleptyczne. Ustalić regulamin wykorzystania. Stworzyć listę urzędników, którzy mogliby dysponować nową bronią. Wystąpić do lekarza o zaświadczenie o stanie zdrowia i okresie używalności. Ustalić sposoby przechowywania w okresie pokoju. – Każdy kolejny punkt podkreślał podnoszeniem kolejnego palca. – I wreszcie najtrudniejsze... Przekwalifikowanie mnie z ewidencji zasobów ludzkich do ewidencji broni masowego rażenia. Stworzenie zabezpieczeń obronnych i ochronnych mojej cennej dupy – zachłysnął się śmiechem. – Zapomniałem jeszcze o zgodzie ordynariatu na zastosowanie niechrześcijańskiej i diabelskiej broni. Marne szanse...

W drzwiach pojawił się zaniepokojony kapral, dla którego rehot sierżanta szefa musiał być co najmniej podejrzanym, skoro mimo zakazu wstępu odważył się to zrobić. Spojrzał z uwagą na swego szefa, następnie na plutonowego i wzruszywszy bezradnie ramionami uśmiechnął się przeproszająco i wycofał z powrotem do pokoju.

– Widzisz, z kim muszę pracować? – zapytał szef, z trudem panując nad kolejnym atakiem śmiechu. – Kapral w stopniu dwóch belek sprawdza, dlaczego się śmieje starszy sierżant – wybuchnął złością, łapiąc się rękami za brzuch. – Chuj mu do tego! Ma robić swoje i nie wsadzać nosa w cudze sprawy!

– Szefie, spokojnie. – Plutonowy obszedł biurko i pochylił się nad skulonym sierżantem. – Jak mogę pomóc?

– Tam – sierżant z trudem wskazał na płaszcz wiszący na wieszaku przy drzwiach. – W kieszeni są pigułki. Daj mi dwie.

Leńczyk z niepokojem obserwował, jak sierżant połyka lekarstwo, popijając wodą z butelki i przez długą chwilę chował twarz w dłoniach. Widać było, że cierpi, że nie jest to jakiś pokaz i plutonowy ze zdziwieniem musiał przyznać sam przed sobą, że polubił tego nieforemnego mężczyznę, którego widok wywoływał uśmiech politowania i sarkazmu. Dopiero z czasem zdał sobie sprawę z jego profesjonalizmu.

Zauważył też ze zdziwieniem, że wszyscy, gdy chcieli coś załatwić zawsze najpierw kontaktowali się z nim. Dotyczyło to nie tylko podoficerów, ale i sporej części oficerów, która takie sprawy załatwiała przez telefon, aby na wszelki wypadek udawać, że nic nie wie o felerach sierżanta. W razie kłopotów zawsze mogli twierdzić, że nie zauważyli symptomów zaniku sprawności fizycznej – tak to się nazywało według zasad słownictwa wojskowego. Zasada była prosta dla wszystkich – jeśli sierżant Zdenkiewicz komuś pomógł, należało mu się zrewanżować butelką spirytusu, którą on następnie w swoich domowych pieleszach przekształcał w wyborną nalewkę. Takie miał hobby i to był cały jego świat, który kochał. Oczywiście poza wojskiem.

– I co się tak gapisz?! – Sierżant patrzył na niego ze złością, a może nawet był bardziej zawstydzony, że ktoś poznał jego tajemnicę, której nie zdołał ukryć. – Zabiłem ci kogoś?!

– Sorry, szefie – plutonowy podniósł bezradnie ręce do góry i spytał. – To wrzody?

– Takie, cholera. – Sierżant pokazał zaciśniętą dłoń, jakby w ten sposób pokazywał ich wielkość. – A boli, jakby ktoś wrzucił do środka kilka rozgrzanych węgielków. – Delikatnie masował sobie brzuch, spoglądając na niego z zamyśleniem. – Jak komuś powiesz, co tu widziałeś, to cię udupię na wieczne czasy. Wiesz, że jestem w stanie to zrobić, więc morda w kubel!

– Szef chce mnie obrazić? – spytał ze zdziwieniem plutonowy. – Niczego nie widziałem, niczego nie słyszałem, w ogóle mnie tutaj nie było. – Wzruszył bezradnie ramionami, okazując niezadowolenie z podejścia sierżanta. – Już dawno jestem na kompanii i ustawiam dwubelkowców, którym wydaje się, że jak wyjeżdżam z jednostki, to mogą już rządzić po swojemu. To, co tu się dzieje, to sprawa między nami. Morda w kubel i nic nie wiem – zapewnił.



– Takiego cię lubię. – Sierżant zaczął przeglądać papiery na swoim biurku, ukrywając swoje zmieszanie. – Kiedyś myślałem, że będziesz moim następcą. – Zauważył zaskoczony wzrok Leńczyka i uśmiechnął się szeroko. – Tak, tak właśnie myślałem. Ale jesteś za duży pistolet, za młody, za impulsywny i za szybko ściągasz na siebie kłopoty. Jesteś jak piorunochron na dachu, który ściąga pioruny i burze, a tu – wskazał na biurko – nie jest potrzebna taka umiejętność. Tu musisz być przewidujący i metodyczny.

Ten ton nie pasował do szefa i powodował, że Leńczyk czuł się w tym pokoju zbędnym meblem, który za moment może usłyszeć coś, z czym trudno będzie mu żyć. Nie lubił takich sytuacji, chyba go po prostu przerastały, poza tym miał swoje kłopoty i nie chciał zostać dodatkowo obdarzony problemami innych ludzi. Nawet tych, których lubił.

– Szefie, to pochwała samego siebie czy laurka na dzień wojska?

– Raczej nekrolog – odpowiedział cicho sierżant, porządkując swoje papiery. – Ale wróćmy do naszej rozmowy. Najpierw sprawy służbowe, później dyrdymały o dupie Maryny. Co z nowymi?

– Jak zwykle, WKU wykonało zadanie i przysłało nam swoje mięsko. – Z rezygnacją machnął dłonią Leńczyk i z trudem usadowił się na niewielkim taborecie. – Szajs i marmolada.

– To znaczy? – dociekał sierżant. – Ile z tej trzydziestki jest do wykorzystania?

Plutonowy wyciągnął notes z kieszeni, z której wystawały okulary przeciwsłoneczne. Nie śpiesząc się, zaczął go powoli kartkować, co spowodowało rozdrażnienie starszego sierżanta.

– No gadaj! – nie wytrzymał wreszcie Zdenkiewicz. – Bo zaraz postawię cię na baczność i będzie inna rozmowa! – zagroził.

– Spokojnie, szefie. Musiałem sprawdzić swoje dane. U dwóch podejrzewam platfusa, z dziesięciu nie umie prawidłowo chodzić. Dwaj chodzą jak... – przez

chwile szukał właściwego określenia. – U koniarzy mówią na to innochód, czyli prawa noga – prawa ręka, lewa noga – lewa ręka...

– Wiem, co to jest. Jestem z wioski, choć tego nie widać – przerwał mu szorstko starszy sierżant. – Dobry kapral ustawi ich w ciągu dwóch dni.

– Jeśli dobrze widziałem, to z sześciu jest dzierganych – spojrzał na sierżanta, ciekawy, czy ma wyjaśnić, że chodzi mu o skazanych, ale dostrzegł jego ruch głową, że wie, o co chodzi. – Ze trzech pakerów naładowanych prochami – wyliczał dalej, obserwując jak sierżant zaznacza coś na arkuszu leżącym przed nim na biurku. – Jednemu trzeba sprawdzić krew, bo wygląda na narkomana. Oczy mu się świecą jak psu jaja – pośpiesznie wyjaśnił, dostrzegając niedowierzające spojrzenie sierżanta. – Poza tym jest rozkojarzony, na pewno nie dałbym mu broni do ręki – zaznaczył.

– Z tego, co mówisz, wynika, że na trzydziestu chłopów przeszło jedna trzecia to odrzut... – starszy sierżant wodził ołówkiem po papierze. – Komisja znowu się nie popisała – stwierdził spokojnie.

– Właśnie tego nie rozumiem. Po co w takim razie komisja...

– Spoko – przerwał plutonowemu udowadniając, że nadażą za nowymi normami językowymi. – A co? Spodziewałeś się, że dostaniesz sto procent porządnego sortu? Zapomnij o tym – machnął dłonią. – Komisja ma do wykonania plan i tylko to ją interesuje. Jeśli tego nie zrobi, udowodni, że nie nadają się do tej roboty, a to z kolei spowoduje, że ktoś postawiony wyżej dobierze się do nich i zagoni do zielonego garnizonu, gdzie psy szczekają dupami. Według obowiązujących przepisów, w duchu dobrze spełnionego obowiązku, komisja musi wykonać plan, a że ty dostaniesz ludzi, których później odeślesz do domu, to już twój problem. Oni mają w dokumentach... – pomachał mu przed nosem plikiem papierów – i w sprawozdaniach, że na komisję zgłosiło się tylu a tylu poborowych, z tego dwadzieścia procent dostało odroczkę, pięć procent zostało uznanych za niezdolnych do służby, a pozostali otrzymali bilet do wojska. W związku z powyższym komisja wykonała powierzone jej zadanie i

skierowała do służby, zgodnie z planem, jaki przedstawił przed nimi ważny generał, z jakiegoś tam dupnego pionu w Centralnym Zarządzie ds. Niepotrzebnych. I w tym tkwi cała tajemnica, bo skoro generał kazał im skierować do wojska tysiąc dwustu poborowych, to muszą to zrobić, bez względu na to w jakiej są kondycji fizycznej. Wojsko szkoli, wojsko uczy, wojsko dupków wyprowadzi na ludzi! – Zaśmiał się chrapliwie i sięgnął po butelkę z wodą. – WKU dobrze wykonało swój obowiązek, co udowodni w sprawozdaniach. To my w jednostkach jesteśmy źli, bo odsyłamy poborowych do szpitala i do cywila.

– No nie – plutonowy miał jednak wątpliwości. – Według przepisów nie możemy dostać byle kogo. Przecież przepisy mówią, że skazani...

– Przepisy, przepisy – drażnił się starszy sierżant, ale widać było, że wyjaśnienie sprawia mu satysfakcję. – Ja pamiętam takie, gdzie było uwzględnione, ilu poborowych mamy otrzymać po szkole zawodowej, ilu z maturami, a skazani wyrokami sądowymi w ogóle nie mieli wstępu do wojska. Teraz WKU do każdej jednostki przydziela poborowych, którzy mieli kłopoty z prawem, bo nikt tego nie sprawdza. A już szczególnie tam, gdzie jest bezrobocie albo poborowi są z rejonu społecznego zaniedbania – zaśmiał się. – Gdyby komisja zwracała na to uwagę, to z takiej warszawskiej Pragi, obrzeży dużych miast, pegeerów, nikt by nie trafił do wojska. Z drugiej strony, gdy coś się dzieje niedobrego, to wolę mieć obok siebie chłopaków z takich dzielnic, niż pseudointeligentów z dobrych domów. Jak się ich dobrze ustawi i trzyma krótko, to niejeden z nich jest dobrym żołnierzem. Ale wracajmy do sedna sprawy! Nikogo nie wypatrzyłeś do szkółki?

– Mam jeszcze jeden kwiatek z WKU. Zgadnie szef, kogo nam przysłali?

Sierżant namyślał się chwilę, po czym wzruszył bezradnie ramionami.

– Skoro zostawiłeś to na sam koniec, to musi być jakiś kanał. Kulawego już mieliśmy, tak samo jak parę gejów, sorry, zainteresowanych inaczej – poprawił się natychmiast. – Synalek osła? Sorry. Posła? Tego nam jeszcze, kurwa, brakowało.

– Nie, nie... Próbuje szef dalej?

– Walcie się, plutonowy – stwierdził krótko. – Nie mam czasu na zgadywanki.

Zastanawiał się chwilę, czy nie podrażnić się z sierżantem dłużej, ale... Pokorne ciele dwie matki ssie, a mądry podoficer dobrze żyje ze swoim sierżantem.

– Melduję, że poborowego Niżyńskiego odesłałem do lekarza. – Sierżant zamiast pytania podniósł brwi do góry, więc od razu wyjaśnił. – Utrata słuchu. Musi nosić cały czas odbiornik w uchu.

– Pierdolisz... – Zdenkiewicz zakaszłał, aby zyskać trochę czasu. – Robisz sobie jaja? Jak przeszedł komisję i pierwsze godziny u nas? Nikt tego nie zauważył? – spytał zdziwiony.

– Myśleli, że słucha radia Maryja przez słuchawki. – Z trudem utrzymywał powagę. – Dostał opierdół, zanim cokolwiek wyjaśnił, więc wolał siedzieć cicho. Naśladował, co robią inni i mało co by mu się udało. – Zaśmiał się, przypominając sobie scenę sprzed kwadransa. – Widziałem, że zawsze jest lekko opóźniony, ale szczeka mi opadła gdy poprosił, abym mówił do niego z lewej strony, bo z prawej nic nie słyszy. Myślałem, że świruje – rozłożył bezradnie ręce. – No i mamy jąkałę.

– Ktoś w WKU pomylił druczki? – spytał sierżant. – Odesłałeś go do lekarza?

– Zostawiamy go... – kompletnie zaskoczył sierżanta, który wyprostował się w krześle, powodując jego skrzywienie. Przez chwilę spoglądali na siebie, po czym pierwszy odezwał się Zdenkiewicz.

– Po chuja nam jąkała? Popierdoliło cię, plutonowy?

– Nie – zaprzeczył Leńczyk. – W pierwszym odruchu chciałem go odesłać, ale chłopak jest sprawny fizycznie, działał w jakiejś grupie paramilitarnej, Combat coś tam. Ma czytelny charakter pisma, zna się na broni i nieźle biega. Przymierza się na nadterminowego i może przyda się szefowi – wskazał ruchem głowy w stronę półek z aktami – Albo przekwalifikujemy go na rusznikarza. Musimy tylko zadbać, aby nie

rzucał się w oczy, a to nie będzie trudne, jeśli nie będzie musiał głośno rozkazywać. Pomyślałem...

– Zaskoczyłeś mnie – przerwał mu sierżant. – Nadal uważam, że w wojsku myślenie zaczyna się i kończy na sierżantach. No, ale... Może masz rację. Niech przetrwa elitarę, a później wezmę go pod swoje skrzydła i zobaczymy, co z nim zrobić dalej. Coś jeszcze?

– Rarytas na koniec, jak zawsze. Jest jeszcze misjonarz, to znaczy... miałem na myśli wojskowych, którzy mają za sobą misję. A dokładniej mówiąc, misjonarzem jest jego brat.

– Coś kręcisz – sierżant Zdenkiewicz przyglądał mu się podejrzliwie. – Mów jak plutonowy, a nie jak żołnierz w stopniu czterech belek.

– Jego brat jest plutonowym w Jarosławiu – stuknął butem o but, jakby imitował służbowy meldunek. – Zawodowym, który teraz jest na misji w Libanie.

– Twoje znajome okolice, Piotrek. – Zdenkiewicz przyglądał mu się z uśmiechem. – Ale dobrze, że o nim wspomniałeś, wyślę go na szkółkę. Mam tylko kłopot z tobą – zakończył niespodziewanie.

– Ze mną? – szczerze zdziwił się Leńczyk. – Te trzy dni, jakie zostały mi do wyjazdu na szkolenie, to pan sierżant jakoś ze mną wytrzyma. Postaram się obchodzić szefa dookoła i daleko – zażartował, ale szef nawet się nie uśmiechnął. – A później, będę co najwyżej wysyłał kartki z Iraku.

– Jasne, że wytrzymam – potwierdził z powagą Zdenkiewicz, wyciągając z bocznej szuflady grubą szarą kopertę. W takich dokumentach zazwyczaj przechowywano dokumenty oznaczone jako „Tajne”, rozkazy wyjazdów i akta osobowe. Trzymał ją przez chwilę w dłoniach, jakby zastanawiał się, co ma z nią dalej zrobić, po czym odłożył na bok. – Nie o to tu chodzi.

Patrzyli na siebie z uwagą. Leńczyk z zainteresowaniem, bo Zdenkiewicz był znany ze swego zdecydowania i bezpośredniości, a teraz widać było, że gorączkowo rozważa swoje dalsze kroki i jakby się wahał. W wojsku najlepszy jest atak, więc...

– Szefie, co się dzieje? – odezwał się pierwszy. – Jeśli pułkownik załatwił w końcu, że wywalili mnie z wojska, to wbrew pozorom zrobił dla mnie najlepszą rzecz pod słońcem i bardzo się z tego cieszę. Nareszcie wszystkie moje problemy same się rozwiążą.

– Piotr, przestań pieprzyć. – Sierżantowi nie było do śmiechu. – Tacy jak ja i ty, to w wojsku będziemy służyć do zaszranej śmierci! Od dziesięciu lat mógłbym iść na emeryturę a siedzę tu i będę siedział, aż wyniosą mnie stąd w drewnianej skrzyneczce. Kocham to, co robię! Niczego innego w życiu nie robiłem i nie chcę niczego nowego robić! Ty jesteś taki sam i nie pieprz, że jest inaczej! Fajnie jest na urlopie, ale po tygodniu chodzimy jak naładowane automaty, zastanawiając się, co się dzieje w jednostce. Jednocześnie nienawidzimy jej i nie możemy bez niej żyć, bo to jest całe nasze życie. To, że teraz popierniczyło ci się w życiu osobistym i masz na karku wyjazd na misję, wcale nie znaczy, że chciałbyś być jakiś pieprzonym cywilem! Kim byś tam był? Jednym z dupków, który szuka pracy lub szykuje się do wyjazdu na zachód? Chcesz być białym murzynem? Przestań się oszukiwać! Urodziłeś się, żeby być żołnierzem i nic na to nie poradzisz. Lepiej pomyśl, jak to wszystko pozałatwić, żeby miało ręce i nogi.

Leńczyk z uwagą przyglądał się sierżantowi. Wydawało mu się, że nikt nie powinien się orientować w jego problemach. Nikomu nic nie mówił, nie skarżył się, a tu okazuje się, że sierżant o wszystkim wie. Ciekawy był, jakim cudem wieść o jego kłopotach doszła do uszu sierżanta.

– Kto palnął? – spytał w zamyśleniu, drapiąc się po policzku. – Nikomu nic nie mówiłem, chyba że...

– Następnym razem jak pójdziesz do kapelana, to najpierw walnij się w ten głupi czerep – stwierdził sierżant, sięgając po szarą kopertę. – Zawsze ci mówiłem, jak masz kłopot, najpierw przyjdź do mnie. Przecież wiesz, że ten nasz nowy kapelan to pojeb nie z tego świata. On jest bardziej święty od papieża, a ty mu wciskasz gadki, że dziewczyna jest w ciąży, ty jedziesz na misję, więc on musi wam szybko udzielić ślubu – zaznaczył ostatnie słowo, wycierając nos w papierową chusteczkę. – I co, spuścił cię po schodach? Bo on niczego nie musi? Tak ci powiedział?

– Szkoda mówić. – Plutonowy sięgnął po papierosa. – Potraktował mnie jak chłopca do bicia... Jak przyszedłem do jego mieszkania, siedział z drugim takim jak on. Cały stół mieli zastawiony, nawet nie kryli kieliszków i od razu było widać, że nie jest zadowolony, że im przeszkadzam. Zanim mu cokolwiek wytłumaczyłem, to powiedział, że pierwszym obowiązkiem żołnierza jest służyć kościołowi i wypełniać jego przykazania, a mnie to on nie widział na żadnej mszy. – Wziął głęboki oddech. – Poza tym nie mam świadectwa z religii, bierzmowania, nauk przedmałżeńskich i dopóki nie dopełnię tych powinności, to on nic nie może zrobić. I nie chce, żeby wszystko było jasne... – przerwał zaciągając się papierosem.

– Podobno mu groziłeś. – Wyglądało na to, że relacja plutonowego nie robi wrażenia na sierżancie. Zachowywał się tak jakby znał przebieg całej sprawy. – Lubisz mieć kłopoty?

– Mam to gdzieś! – plutonowy ponownie zaciągnął się papierosem. – Powiedział, że jak zrobiłem jakiejś dziwce bachora, to mój kłopot. A fakt, że wyjeżdżam na misję, to nawet lepiej dla mnie, bo przez ten czas ona znajdzie sobie kolejnego naiwnego i będę miał spokój.

Zdenkiewicz gwizdnął cicho przez zęby i coś zapisał w skoroszycie.

– Tym się nie pochwalił – stwierdził, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Według jego relacji udzielił ci porady, jak masz to załatwić, a ty go zbluzgałeś i powiedziałaś, żeby nie pokazywał się na strzelnicy, bo może dojść do wypadku.

– Gównu prawda! – zaprzeczył gwałtownie plutonowy Leńczyk, zrywając się ze stołka. – Fakt, że chciałem mu przylać. Szczególnie, gdy powiedział o niej jak o dziwce. Gdyby on był tak wierzący jak Arleta, to chyba od razu miałby skrzydła. Powiedział jeszcze, że jestem złodem i chyba go trochę poniosło, albo chciał zaimponować temu drugiemu, bo nazwał mnie śmierdzącym żołdakiem i sługą szatana. Obiecał mi jeszcze, że ani on, ani inny ksiądz nie ochrzczi owocu tej przeklętej miłości. Najnormalniej w świecie naigrywał się ze mnie. Więcej nie zdążył nic powiedzieć. Posadziłem go na kanapie i powiedziałem, żeby nie wołał Boga nadaremnie, bo jeśli on istnieje, to takie gówno jak on będzie w piekle klozety czyścił – zamilkł, ponownie zbyt gwałtownie, co znów zwróciło uwagę sierżanta.

– I? – spytał sierżant, nie podnosząc głowy znad notatek. – Co mu powiedziałaś?

– Że postaram się, aby nie musiał na to długo czekać. A, że do mojego wyjazdu zostało kilka dni, niech uważa – przyznał niechętnie, czerwieniąc się na twarzy. – Ale to nie była groźba, powiedziałem tak, tylko w złości – usprawiedliwił się od razu. – Przecież nie ruszę gówna, bo wiem, że śmierdzi.

– Starczy! – przerwał mu sierżant. – I tak za dużo powiedziałaś! Stary jesteś, na ministranta się nie nadajesz, a zachowujesz się jak naiwna panienka, co by chciała, a się boi. – Pokręcił z niesmakiem głową. – Cały czas mam z tobą tylko kłopoty, może naprawdę lepiej będzie, jak wyjedziesz szybko na tę misję.

– Był na skardze? – spytał Leńczyk, spoglądając na swoje dłonie. – Jeśli zrobił to służbowo, to powinienem w tej chwili siedzieć w areszcie i smażyć się w ogniu piekielnym.

– Bo i powinienes – zgodził się sierżant. – Gdyby poszedł do dowódcy jednostki, to byś tam siedział. Sam wiesz, że pułkownik robi wszystko, aby zasłużyć na kolejny awans, a teraz, skoro czarne jest na wierzchu, on jest pierwszym



wierzącym. Na twoje szczęście najpierw poszedł do naszego kapitana, a on nie jest głupi, skierował go do mnie. Obiecałem zająć się sprawą i wszystko wyjaśnić.

– I co? – spytał z niepokojem Leńczyk. – Co pan zamierza, sierzancie?

– Jeszcze dzisiaj wyślę mu zmijówkę, bo przy okazji prosił mnie o coś ekstra dla przełożonego. Może zrozumie aluzję – uśmiech przemknął mu po twarzy. – Dołączę mu list, że twoje zeznania nie pokrywają się z jego i powołujesz się na świadka, choć on twierdził, że rozmowa odbyła się w cztery oczy. Wobec tego będę musiał upublicznić wydarzenie, bo zostałeś przeniesiony do jednostki, która wyjeżdża na misję i podlegasz innemu dowództwu. Takie niepotrzebne nagłośnienie sprawy nie będzie mile widziane zarówno przez dowództwo MON, jak i przez władze kościelne, szczególnie jeśli przenikną do prasy nieprzychylniej kościołowi. Słowa wypowiedziane przez kapitana kapelana naszej jednostki, powszechnie uważane za obraźliwe, nie będą dobrze przyjęte przez przełożonych – mówił to z powagą, jakby przedstawiał stanowisko przed ławą oskarżonych w sądzie. – Na koniec zaproponuję, aby nie nadawał sprawie biegu oficjalnego, a ja się postaram, aby winny został odpowiednio ukarany. – Rozłożył ręce w geście bezradności. – I mam nadzieję, że na tym sprawa zostanie zamknięta.

– Szef ma głowę – stwierdził z uznaniem Leńczyk. – Ja bym poszedł na udry, a szef – pomigał palcami u dłoni, chcąc pokazać swój podziw – tak to przedstawił, że wilk jest syty i owca cała.

– Bo sierżant w wojsku, panie plutonowy, jest po to aby używać głowy, kiedy jest taka potrzeba. – Zdenkiewicz siedział rozparty na fotelu nie ukrywając, że pochwały sprawiają mu przyjemność – a plutonowy jest potrzebny wyłącznie do wykonywania rozkazów – zaśmiał się ubawiony swoim dowcipnym, tego był pewny, powiedzonkiem. – A wracając do tego przysłowia o wilku, to ja znam inną wersję. Aby wilk był cały i wilk był syty.

– A co z owcą? – plutonowy był lekko zdezorientowany.

– A kogo obchodzi owca? – spytał sierżant. – Jeżeli chcesz być wilkiem, to musisz myśleć tylko o sobie, owca w tym przypadku jest wyłącznie mięsem i celem, niech tak zostanie. Ale my tu gadamy o głupotach, a jest jeszcze kilka spraw do wyprostowania. – Spojrzał na plutonowego z uwagą. – Co z tą twoją Arletą? Naprawdę ją kochasz i chcesz się żenić?

– Wie szef – Leńczyk lekko się krępował. – Spotykamy się od dawna, a teraz... gdy jest w ciąży. Gdyby nie to, ślub by poczekał, aż wrócę z Iraku. Zresztą z tym Irakiem to też nie miałem wyboru albo zgłaszam się na ochotnika, albo idę do cywila. Obaj wiemy, że nie miałem innego wyjścia.

– I dlatego czuję się za ciebie odpowiedzialny – przytaknął Zdenkiewicz, gładząc dłonią szarą kopertę. – Nie wystarczy w tej chwili ślub cywilny?

– Tak proponowałem – machnął z rezygnacją dłonią. – Nie zna pan jej rodziców. Ślub kościelny i to natychmiast, dopóki nie widać brzucha. Jeśli nie, nigdy nie zobaczę Arlety ani dziecka – dokończył załamany głosem. Widać było, że bardzo to przeżywa. – Zresztą Arleta mówi to samo... Jak chcę wojować, to po ślubie, a teraz mam szybko załatwić sprawę albo nigdy już jej nie zobaczę.

– To masz, chłopie, problem – potwierdził sierżant z rezygnacją, podając mu szarą kopertę. – Tu masz być może rozwiązanie swoich kłopotów albo początek nowych, ale tym razem prawdziwych. Musisz sam zdecydować, czy z tego skorzystasz, bo łamię wszystkie możliwe rozporządzenia. Jeśli to się wyda, to mnie wywalą z wojska, zabierając emeryturę, a obu nas wsadzą do pierdła. Choć z drugiej strony, to twoja jedyna szansa!

– Co tam jest? – plutonowy z uwagą wpatrywał się w trzymaną kopertę. Przez chwilę milczał, po czym odłożył kopertę na biurko. – Jeśli to może panu zaszkodzić, panie sierżancie, to dzięki, ale nie chcę.

– Głupiś, Piotr. Czasami trzeba ryzykować. – Przesunął kopertę w jego stronę. – Jak wiesz, wojsko to stary skostniały system. Najważniejszy w nim jest papier, bo

nikt nie wątpi w to, co jest na nim wypisane. A w papierach, które masz przed sobą, jest wszystko w jak największym porządku. Szeregowy Piotr Leńczyk, bo przecież masz jechać na misję jako szeregowy, a nie plutonowy – wyjaśnił szybko, widząc spojrzenie plutonowego – ma się zgłosić do Zegrza na kurs stacjonarny przed wyjazdem na misję w Iraku. Jako misjonarz z Libanu, wszystko to znasz i nie musisz chodzić na ten kurs. W Zegrzu naszpikują cię szczepionkami, przekażą dane, które na miejscu i tak okażą się niepotrzebne, dołożą wyposażenie i wsadzą w samolot, który zawiezie was na drugą półkulę. Jak wiesz, na misję zbierają ludzi z całego kraju, więc jest mała szansa, że spotkasz w Zegrzu znajomego, tak samo będzie na miejscu. Misjonarzy raczej nie trzymają w kupie, jest was za mało, więc wsadzają jednego-dwóch do plutonu.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. – Plutonowy wsłuchiwał się w tłumaczenie sierżanta, ale nie widział w tym żadnego sensu. – Co to ma wspólnego z moją sytuacją?

– No tak – przyznał sierżant, wzdychając i patrząc z politowaniem na wyraźnie zdenerwowanego Leńczyka. – Zapominam, że jesteś tylko plutonowym i muszę stosować łopatologię, zanim cokolwiek zrozumiesz. – Wyciągnął z koperty arkusze opieczętowanych dokumentów. – Tu masz rozkaz stawienia się w Zegrzu i oddelegowanie na misję. Mówiąc inaczej, za dwa dni zdejmuję cię ze stanu naszej jednostki i zapominam, że ktoś taki jak ty w ogóle istnieje. Gdy wrócisz do kraju, ponownie będziesz żołnierzem naszej jednostki, ale do tej pory wszystko, co cię będzie dotyczyło, idzie przez warszawkę i centralę. Nagany, kary, pieniądze na utrzymanie rodziny, nawet listy – wszystko idzie przez Warszawę. Załatwię po znajomości, że zarejestrują twój ślub i połowę poborów będzie odbierała twoja żona, żeby starczyło jej na życie. Może być?

– Ale – przerwał, widząc minę zde gustowanego sierżanta.

– Tu masz kartę urlopową dla szeregowca Piotra Leńczyka na dwa tygodnie. Traf chce, że pewien szeregowy służby zasadniczej za miesiąc wychodzi z wojska, a do tej pory nie wykorzystał żadnego dnia. W wojsku, jak wiesz, jest dyscyplina, więc taka sytuacja jest naganna i w naszej jednostce nie możemy dopuścić, aby żołnierz nie wykorzystał przysługującego mu urlopu – uśmiechnął się szeroko, pokazując nie całkiem zdrowe zęby, ale nie to było najważniejsze dla Leńczyka. Powoli zaczął rozumieć, że być może wszystko będzie można zakończyć pozytywnie i z tym większą uwagą słuchał sierżanta, choć jeszcze nie do końca zrozumiał, do czego on zmierza.

– No więc – ciągnął dalej Zdenkiewicz – wiem z nieoficjalnych źródeł, że Piotr Leńczyk w najbliższą sobotę ma się stawić u księdza majora Jana Odrowąza w Szczecinie. – Zerknął w swoje zapiski i podał plutonowemu niewielką kartkę. – Tu masz adres kościoła i zakrystii oraz wykaz dokumentów, które musisz mieć z sobą. Jak widzisz, żadne kursy i zaświadczenia nie będą ci potrzebne, ale zabierzesz ode mnie małą przesyłkę dla księdza Jana i daję ci słowo, że będzie z niej bardziej rad niż z tacy, jaką zbierze na twoim ślubie. Spotkanie masz umówione na sobotę, na godzinę piętnastą czterdzieści pięć w zakrystii, a o godzinie szesnastej zero zero odbędzie się prawdziwy ślub z mszą i całym tym blichтром, dla rodziny panny młodej. Ktoś zagra wam nawet na organach pieśń kajdaniarzy, sorry, marsz Mendelssohna. Przepraszam, że nie dało rady załatwić tego od ręki i inaczej, ale jak ktoś próbuje sam załatwić sprawy, na których się nie zna, to tak się to kończy. Nie przerywaj – nie dopuścił do głosu podekscytowanego plutonowego. – Gdybyś od razu przyszedł do mnie, to miałbyś to już z głowy i nie trzeba by było nic kombinować. Ksiądz Jan jest w tej chwili w Watykanie z jakąś delegacją Episkopatu i dopiero w sobotę wróci. To wszystko, co mogłem załatwić. – Rozłożył bezradnie ręce, ale wyraz twarzy, roześmianej i radosnej, wskazywał na zupełnie inny stan ducha. – Czegoś nie rozumiesz?

– Owszem – plutonowy nie podzielał radości starszego sierżanta. – A jak mam być osobiście w dwóch miejscach naraz i to oddalonych od siebie o przeszło czterysta kilometrów? Dostanę urlop z kursu czy mam się teleportować?

– To jest właśnie problem, który musisz rozwiązać i nie ukrywam, że najbardziej niebezpieczny punkt planu – sierżant rozłożył ręce. – Jutro około godziny ósmej zero zero przybędzie do naszej jednostki... – zamilkł na chwilę, aby podkreślić dramaturgię sytuacji – szeregowy służby zasadniczej... Piotr Leńczyk. To nie kawał – zastrzegł, widząc niedowierzający wzrok plutonowego. – On naprawdę istnieje, ma podobne wymiary do twoich, sprawdziłem w karcie kwatermistrzowskiej, nawet numer buta się zgadza. Zastanawiałem się nawet, czy nie masz brata bliźniaka, ale on jest młodszy od ciebie o cztery lata. Chyba że masz brata przyrodniego, a ojciec zapomniał ci o tym powiedzieć, bo też jest taka możliwość. Był w jednostce w Malborku, ale podpadł u dowódcy i chcą się go pozbyć. Z tego, co się dowiedziałem od tamtejszego szefa, to typowy safandula-filozof. Jak go nie popchniesz, to będzie stał i rozmyślał, jak to zrobić, ale poza tym bez zastrzeżeń. Bezkonfliktowy, tylko cały czas ściąga na siebie pecha – roześmiał się. – Z dokumentów wynika, że jest wychowankiem domu dziecka spod Białegostoku, rodzice od dawna nie żyją, czasami odzywała się do niego stara ciotka, ale tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowała. Skończył szkołę zawodową, w wojsku bez wyskoków, ale i bez inicjatywy. O urlop nie występował, bo – jak mówił – nie miał do kogo jechać, a do domu dziecka nie chciał. Pytał się o możliwość zostania na nadterminowego, ale w Malborku nie mają dla niego żadnego zajęcia. Tam samoloty, piloci, mechanicy, ogółem technika, a on ma dwie lewe ręce.

– I niby jak mam to załatwić? – spytał Leńczyk. – Podejść do niego i spytać, czy nie pojedzie za mnie na misję? Przecież to niemożliwe.

– Na misję? Nie! – zaprzeczył sierżant. – Ale na kurs, dlaczego nie? To tylko dwa tygodnie, sierżantem szefem jest tam jeden z moich dawnych znajomych. Wie,

że jak się pojawi Piotr Leńczyk, to ma te dwa tygodnie przesiedzieć u nich i nie wychylać nosa. Będzie chodził na wykłady, słuchał i nic więcej. Po kursie każdy dostaje przepustkę na dwanaście godzin, i w tym czasie można pożegnać się z rodziną. Wtedy musicie zrobić podmiankę i każdy dalej robi swoje. Ty jedziesz w ciepłe kraje, on wraca do jednostki pod moją opiekę i cała sprawa jest załatwiona. Wilk syty i wilk cały – zaśmiał się.

– Uważasz, że to jest możliwe? – plutonowy miał wątpliwości. – A czym mam go przekonać?

– Na pewno nie forszą – sierżant pokręcił głową. – On jest z domu dziecka. Sądzę, że nie bez powodu dowiadywał się o nadterminowego. Jakbyście się dogadali, to mógłbym pomyśleć i znaleźć dla niego jakąś robotę w naszej jednostce. Co ty na to?

Plutonowy z uwagą przyglądał się sierżantowi. Wreszcie uśmiechnął się.

– Zastanawiam się, dlaczego sierżant szef jest taki dobry dla mnie. I gdzie jest ukryty haczyk.

Sierżant Zdenkiewicz rozłożył bezradnie ręce.

– Sam się zastanawiam, dlaczego ci na tyle pozwalam, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Sądzę, że trzeba spróbować. Jak uważasz?

**Z**łośliwość przedmiotów martwych jest taka, że nigdy niczego nie można zaplanować w stu procentach i niczego nie należy być pewnym. Plutonowy Piotr Leńczyk po uprzednim pożegnaniu się z żoną i jej rodziną (nie lubił łzawych pożegnań na płycie lotniska) jechał do Zegrza, gdy jadące z naprzeciwka BMW próbowało zmieścić się na trzeciego na drodze krajowej numer siedem nieopodal miejscowości Błonie. Nie wiadomo, czy zawinił kierowca, który najwyraźniej przecenił swoje umiejętności w ten zamglony poranek, czy niespodziewana awaria opony, w każdym razie czarne auto wbiło się w bok samochodu, którym jechał

Leńczyk, odbiło się od niego i wjechało wprost pod tira. Efekt wypadku był tragiczny: dwoje młodych ludzi w BMW poniosło śmierć, kierowca samochodu, którym jechał Leńczyk, wyszedł cudem bez ran, czego nie można było powiedzieć o plutonowym i samochodzie, który nadawał się tylko do kasacji. Plutonowy Leńczyk siłą uderzenia został wyrzucony z samochodu przez przednią szybę i w stanie nierokującym żadnej nadziei został odwieziony do najbliższego szpitala, a po konsultacjach ze specjalistami przewieziony helikopterem do kliniki, która specjalizowała się w urazach głowy. Profesorowie po wielogodzinnej walce przy stole operacyjnym zrobili wszystko, co mogli i utrzymali go przy życiu, ale nie przywrócili świadomości. Pozostał w stanie śpiączki klinicznej.

Było sobotnie przedpołudnie, gdy zadzwonił telefon na biurku oficera służbowego i wyraźnie znudzony głos po drugiej stronie poinformował, że w wypadku z samego rana został ranny żołnierz z ich jednostki, Piotr Leńczyk. Niestety, osoba po drugiej stronie nie była w stanie wyjaśnić oficerowi służbowemu o kogo chodzi, o szeregowca służby zasadniczej czy plutonowego, który miał w tych dniach wylecieć na misję do Iraku. W każdym razie poinformowała, że stan uszkodzowanego jest tragiczny i raczej nie ma żadnych szans na przeżycie.

Dwie godziny później, tym razem podoficer odnotował kolejny dziwny telefon z jednostki w Zegrzu, gdzie rozmówca koniecznie chciał rozmawiać z Piotrem Leńczykiem i dopiero na informację o wypadku rozłączył się bez żadnych słów wyjaśnienia. Właśnie to dziwne zachowanie spowodowało podoficera dyżurnego do zameldowania o dziwnych zdarzeniach sierżantowi Zdenkiewiczowi. Ten, po wysłuchaniu meldunku, szpetnie zaklął i odłożył słuchawkę.

Gdyby podoficer miał podgląd do mieszkania starszego sierżanta widziałby, jak po usłyszeniu wiadomości chwyta się za brzuch i łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, osuwa na podłogę. Gdyby nie była to sobota, a później niedziela, które dla starszego sierżanta były dniami wolnymi od służby, dałoby się jeszcze go uratować,

ale ratunek nadszedł dopiero w poniedziałek koło południa, gdy jego nieobecnością zainteresował się major z Inwentury, który koniecznie potrzebował jakiegoś sprawozdania i nikt nie był w stanie wskazać, gdzie można je znaleźć. Po wyważeniu drzwi znaleziono sierżanta a wezwany lekarz mógł jedynie potwierdzić zgon. Po autopsji okazało się, że przyczyną śmierci było pęknięcie wrzodu na dwunastnicy i krwotok wewnętrzny. Zmarły nie pozostawił po sobie żadnego testamentu, nie miał także żadnej rodziny, w związku z powyższym dowódca jednostki kazał przewieźć cały jego dobytek, w tym około tysiąc butelek nalewek, do specjalnego magazynu, który został opieczętowany plombami i przesłał odpowiedni meldunek do dowództwa okręgu, czekając na polecenie, co ma dalej z tym robić. Pogrzeb odbył się na koszt MON, a okręg przysłał specjalnie wojskową orkiestrę dętą. Mszę świętą celebrował ksiądz major Jan Odrowąż, który nie wstydził się łez na swoich policzkach, a tuż przed zamknięciem trumny niepostrzeżenie włożył do środka butelkę z czystym spirytusem, wiedząc, że jest to najlepszy gest pożegnania dla tak dobrego żołnierza, jakim był starszy sierżant Zdenkiewicz.

Jak bardzo był nieodzownym, okazało się bardzo szybko, bo nagle wzorowa i stawiana wszystkim za wzór jednostka zaczęła niedomagać organizacyjnie. Zawsze czegoś brakowało, a to mydła w pierwszej kompanii, a to nie zgadzał się stan magazynu, a to ktoś nie zamówił nowej partii amunicji, a to sprawozdania wychodziły z opóźnieniem, nie dochodziły wcześniejsze informacje o planowanych inspekcjach i w związku z powyższym nikt nie mógł się do nich odpowiednio przygotować. Najgorsze było to, że każdy zwał winę na kolejnego w hierarchii służbowej, bo do tej pory robił to za wszystkich starszy sierżant, a teraz nie było nikogo, kto mógłby to jakoś opanować. Od tamtej pory przy kieliszku wspominano, jak to było dobrze za czasów starszego sierżanta Zdenkiewicza i za jakie grzechy muszą teraz cierpieć. Snuto także rozważania, jakie skarby są zabezpieczone w opieczętowanym magazynie.



## Rozdział drugi.

Wszystko zostało przygotowane z iście żołnierską dokładnością. Opracowano i zorganizowano odpowiednie zabezpieczenia, chociaż dla tak małej grupy wyjeżdżających na misję pożegnania nigdy nie były organizowane z pompą i rozmachem. Co innego, gdy dla celów propagandowych organizowano pożegnanie pięciuset żołnierzy. Wtedy pojawiał się ktoś od prezydenta, minister lub jakiś jego wice, oraz media, które wbrew regulaminom miały swobodny dostęp do wyjeżdżających, większy nawet od ich rodzin. Mogły nagrywać i fotografować, co im się żywnie chciało, a szum medialny jak miód przyciągał ostatnich i ważniejszych ludzi polityki, zarówno kręgu ogólnokrajowego, jak i prowincjonalnego, a każdy z nich uważał, że to właśnie on jest najbardziej potrzebny.

Na lotnisku, tuż przed przeszklonym frontem budynku przyjęć, zbudowano niewielką trybunę ze świeżo ściętych brzoź, co miało podkreślać wojskowy charakter pożegnania dla kolejnej tury jadącej na misję do Iraku. Widać było, że majorowi Bajerowskiemu bardzo zależało na zrobieniu odpowiedniego wrażenia na gościach i – nie ma, co ukrywać – na swoich przełożonych. W wojsku obowiązuje jedna główna zasada – rozkazy przełożonych wykonuje się szybko i w sposób, który owego przełożonego satysfakcjonuje. Nikt poza majorem, szefem sztabu okręgu i jeszcze kilkoma ważnymi oficerami ze Śląskiego Okręgu Wojskowego, nie zdawał sobie sprawy, że wyjazd grupy żołnierzy na misję jest tylko pretekstem do tak zwanej imprezy towarzyszącej – imienin jednego z zastępców dowódcy okręgu. Co prawda zawsze znajdą się oszczercy, którzy będą twierdzili, że dzisiejszy solenizant w poprzednim wcieleniu był jednym z bardziej zaangażowanych ideowo oficerów i dopiero w końcu lat osiemdziesiątych zaczął bywać w kościele i z hukiem oddał legitymację partyjną. Ale właśnie to okazało się w przyszłości jego trampoliną na drodze awansu, bo po nastaniu nowych władz zadbał o odpowiednie kontakty i został doceniony jako uprzednio represjonowany politycznie oficer. Niechętnie mu osoby

określały go, jako „klęcznikowego generała”, który całą swoją przyszłą karierę wojskową opierał na koneksjach z rządzącymi i znakomitych kontaktach z Episkopatem, zaś oficerowie z jego grona głośno mawiali, że tam, gdzie nie ma księdza pułkownika, na pewno nikt nie znajdzie ich generała. Solenizant, poza dbaniem o swoje znajomości, starał się mieć też bezpośredni kontakt z żołnierzami. Mawiał, że dobrego żołnierza można poznać po sposobie, w jaki maszeruje, a sam się uważał za wybitnego specjalistę od szkolenia w tym zakresie. Dlatego, poza klęceniem w pierwszym rzędzie, najlepiej mu wychodziło prowadzenie i korygowanie kolumn maszerujących plutonów.

Lista gości zaproszonych była dokładnie przemyślana i uprzednio zaaprobowana przez solenizanta. Nikt spoza osób będących aktualnie u władzy lub mających koneksje z warszawskimi lub toruńskimi notablami, nie miał szans, aby się na niej znaleźć. Każdy otrzymał imienne zaproszenie, plan uroczystości oraz zaznaczone miejsce na planie trybuny, które powinien zająć w chwili przyjazdu. Jednym słowem, wszystko było przewidziane w najmniejszym szczególe, każdy wiedział co ma robić i gdzie stanąć, choć i tak nad tym wszystkim czuwał osobiście major Bajerowski.

Jednym z nieuwzględnionych czynników było zachowanie samego generała solenizanta, który – co było znaną sprawą – tracił sporo na swoim wizerunku, gdy nadużywał alkoholu. Teraz, w dniu swoich imienin, gdy przyjmował od samego rana życzenia i symboliczne prezenty od dowódców jednostek, które mu podlegały lub mogły podlegać, był już pod dużym wpływem. Oczywiście składanie życzeń nie było obowiązkowe, a sam solenizant oficjalnie zapewniał że nie lubi imprez, ale jednocześnie znany był z dobrej pamięci. Wszyscy zainteresowani doskonale wiedzieli, że jeśli marzy im się awans, to powinni choć raz pójść osobiście z pielgrzymką do Częstochowy i pamiętać, aby wysyłać swoich podwładnych na podobne imprezy oraz mieć dobre stosunki z władzami samorządowymi,

politycznymi i kościelnymi. Kto nie dbał o powyższe sprawy, nie miał szans na awans i dobre słowo od generała.

W całym zamieszaniu zapomniano o wyjeżdżających, którzy od przeszło godziny stali na lotnisku narażeni na podmuchy lodowatego wiatru i padającego śniegu z deszczem. Nie byłoby sprawy, gdyby byli w odpowiednich zimowych ubraniach, ale ponieważ mieli wylecieć do ciepłych krajów, to od ranka chodzili w specjalnych uniformach przewidzianych właśnie dla ciepłego klimatu bliskowschodniego, który nie dawał odpowiedniej ochrony przed śniegiem i deszczem.

Plan uroczystości przewidywał, że o godzinie piętnastej zero zero (według wojskowego słownictwa) grupa wyjeżdżająca wmaszeruje na płytę lotniska, pożegnanie wygłosi wysoki – w tym przypadku zapewne nie chodziło o wzrost przemawiającego – urzędnik z działu kadr MON, który osobiście został zaproszony przez generała solenizanta, następnie głos miał zabrać przedstawiciel władz administracyjnych, a na koniec błogosławieństwa wszystkim wyjeżdżającym udzieli przybyły biskup z Ordynariatu Polowego WP. Po zakończeniu przemówień grupa wyjeżdżająca dokona defilady wojskowej przy dźwiękach orkiestry, po czym zapakuje się sprawnie do dwóch samolotów podstawionych na płycie lotniska i uroczystości oficjalne zostaną uznane za zakończone, a wszyscy zaproszeni goście przejdą do sali odpraw, gdzie przygotowano małe przyjęcie...

Tak przewidywał plan, życie jednak nie przejmuje się planami jakiegoś tam pułkownika, majora czy nawet generała. Natura, nie oglądając się na harmonogram uroczystości, wpłynęła na niego – negatywnie. Po pierwsze, nastąpiło niespodziewane i niezaplanowane załamanie pogody, w efekcie którego na lotnisko przyleciał tylko jeden z dwóch samolotów. Drugi – amerykański C-130 nazywany potocznie Herkulesem – z powodu złych warunków atmosferycznych został na lotnisku w bazie w Dusseldorfie, gdzie ładowano na jego pokład dwa HMMWV dla

jednostki amerykańskiej stacjonującej w Bagdadzie. Dowództwo zadbało, aby nie wydawać bez sensu pieniędzy podatników, więc postanowiono połączyć dwie sprawy za jednym lotem. Nikt nie przewidział tylko ingerencji natury i pierwszych podmuchów wczesnej zimy. W efekcie już przed rozpoczęciem uroczystości major Bajerowski był świadom, że plan wali się na łeb i szyję.

Dobry oficer charakteryzuje się tym, że nie zniechęca się żadnymi trudnościami, a ponieważ zależało mu, na zrobieniu dobrego wrażenia na swoich przełożonych skorygował plan i wprowadził zmiany. Po defiladzie, pierwsza grupa składająca się ze stu dwudziestu żołnierzy miała wejść na pokład podstawionego samolotu, a mniejsza – trzydziestoosobowa, pod dowództwem porucznika Rutkowskiego – miała niezauważenie przejść za samolot i w oczekiwaniu na drugi ukryć się w pobliskim hangarze. Chcąc odwrócić uwagę gości od grupy, która chyłkiem musiała dotrzeć do hangaru, major Bajerowski rozszerzył program o dodatkowy element, czyli uczestnictwo w defiladzie kompanii żołnierzy z jednostki stacjonującej na lotnisku. Pomysł nie spodobał się ich bezpośredniemu dowódcy, który utrzymywał, że żołnierze są mu niezbędni do zadań na terenie lotniska, a nie do jakiejś głupiej i nikomu niepotrzebnej defilady, ale wystarczył jeden telefon do szefa sztabu okręgu, aby szybko zmienił zdanie. Zapropozował przemarsz na końcu kolumny orkiestry wojskowej, co jeszcze bardziej miało odwrócić uwagę gości od przemykających żołnierzy. Spowodowało to dodatkowe zamieszanie i zaangażowanie do przemarszu więcej żołnierzy niż można było użyć, dlatego ściągnięto posterunki tzw. drugiej ważności, na przykład wartowników zabezpieczających dworzec przylotu. Nieszczęścia chodzą jednak parami i gdy dokładnie o godzinie piętnastej zero zero orkiestra, kompania z lotniska i cały oddział wyjeżdżających na misję stali na swoich miejscach, a w oddali słychać było zapalane silniki samolotu przygotowującego się do startu, misterny plan zaczął się ponownie walić. Okazało się, że nie dojechał zapowiedziany oficjel z MON wraz z biskupem z Ordynariatu Polowego. Nikt więc

nie miał wątpliwości, że bez obecności tak ważnych gości wylot należy odpowiednio przesunąć.

Czas oczekiwania skracano podając gościom herbatkę lub kawę z wkładką – do wyboru był rum lub koniak – które miały na celu rozgrzanie atmosfery, co zawsze się w takich sytuacjach sprawdzało. Major Bajerowski w trosce o zdrowie żołnierzy czekających na uroczystość zaproponował przeprowadzenie próby generalnej, co zostało zaakceptowane przez solenizanta, który zapragnął pokazać zaproszonym gościom, że naprawdę jest specjalistą od musztry. Zarządził „tupanie” przed trybuną i na gorąco korygował wszelkie zauważone niedociągnięcia. Co prawda wzrok nie był już tak bystry, ale na tyle był wyczulony na wszelkie niedociągnięcia, że miał sporo uwag do defilujących pododdziałów. Co gorsza był coraz bardziej zde gustowany widząc, że żołnierze mimo jego uwag defilują bez widocznego zaangażowania. Wreszcie zdenerwowany nie wytrzymał i mimo rozpaczliwych gestów ze strony szefa sztabu, przystąpił do osobistego szkolenia.

– Dawaj ten mikrofon! – wrzasnął do żołnierza opiekującego się sprzętem nagłaśniającym, nie przejmując się zdziwionymi spojrzeniami zaproszonych gości. – Zaraz będą mnie lepiej widzieć.

– Słyszeć – cicho skorygował przestraszony kapral ale od razu zamilkł, zgaszony ponurym spojrzeniem generała, który nie przywykł do uwag ze strony młodszych szarż.

– Ty mi tu nie mów, co ja mam mówić! Po to mam głos, aby każdy mnie widział! – zaznaczył generał, opierając się o barierkę i wpatrując z uwagą w maszerujące czwórkami kolumny. – Ostatnia czwórka z misyjnych! Jak idziecie, siermięgi jedne?! Dwa procenty sekundy za wolno w stosunku do innych! Noga do suwadła! I raaaz, i raaaaz, i raaaaz!!! – zaznaczał przeciągle jak długo ma trwać ruch posuwisty dłoni.

– No, od razu pomogło – powiódł zachwyconym spojrzeniem po zaproszonych gościach, i choć nikt z nich nie podzielał jego zachwyty, nie zamierzali tego komentować. – Jak człowiek nie da im przykładu osobiście, to zawsze coś spieprzą. Paweł... – zwrócił się do swojego szefa sztabu, pułkownika Wrazipurka. – Ty patrz, jak oni maszerują! Musimy im pogonić kota i od jutra wziąć się ostro do roboty. To wstyd przed gośćmi, aby wyglądali jak szweje z cesarskiego wojska! – Po czym skoncentrował wzrok na nadchodzącej kompanii z obsługi lotniska, która nigdy nie specjalizowała się w defiladach i tu dopiero zaczął sobie używać.

– Co to jest?! To się nazywa krok defiladowy?! Rączka!!! Sprzączka!!! W tył!!! Do oporu!!! Rączka!!! Sprzączka!!! W tył!!! Do oporu!!! Nie słyszę wymachu rąk!!!  
– Był co najmniej zde gustowany i zdenerwowany brakiem widocznego zaangażowania maszerujących żołnierzy. – Jesteście dno i kupa mułu! Zobaczycie przepustki jak świnia grzmot! Kurwa, to po prostu jedna żenada, a nie przemarsz krokiem defiladowym!

Szeregowy Piotr Leńczyk, zmartwiony i przemarznięty, maszerował w ostatniej czwórce misyjnych, jak ich nazwał generał. Starał się ze wszystkich sił, aby poszło dobrze, a jedyne co w wojsku naprawdę opanował były manewry w stylu padnij, powstań, w miejscu bieg, krok marszowy, defiladowy, i tym podobne. W końcu robił to tyle razy, że mógł się traktować jako specjalistę od musztry – w końcu przy każdej okazji, gdy okazywało się, że źle wykonał rozkaz przełożonego, otrzymywał za karę zwiększoną ich ilość do wykonania, ponieważ wszyscy zawodowi żołnierze uważali system ćwiczeń fizycznych oraz musztrę – niekoniecznie paradną – za doskonały sposób kary.

Nikt z przełożonych nie zauważył, że w odróżnieniu od innych żołnierzy wołał musztrę i zaprawę fizyczną od zajęć z bronią lub czymkolwiek, co miało wspólnego z techniką. Owszem, opanował budowę i czyszczenie broni w stopniu zadowalającym,

ale tylko dlatego, że dzięki temu miał spokój ze strony swego dowódcy plutonu i kolegów. Gorzej, gdy trzeba było zaliczyć strzelanie, zamykał wtedy powieki i grzał ile wlezie w kierunku tarczy nie interesując się wynikiem, jaki uzyskał. Po kilku takich próbach dowódca machał z rezygnacją dłonią i przestał się nim zajmować, dochodząc do wniosku, że on zrobił, co mógł, a reszta jest w gestii sił wyższych i bliżej niesprecyzowanych.

Żyło mu się w wojsku na ogół spokojnie i bez zadrażeń, nawet zastanawiał się, czy nie związać swego dalszego losu z mundurem, ale zaistniały pewne zdarzenia, które – wydawało się – zamykają przed nim tę szansę. Gdy omal nie doprowadził do pożaru hangaru na lotnisku pod Malborkiem, dowódca jednostki zrobił wszystko, aby się go pozbyć. Jego decyzję poparł dowódca kompanii, który nie mógł sobie wyobrazić szeregowca Leńczyka w roli nadterminowego lub zawodowego żołnierza, szczególnie u siebie. Recepta na wszelkie kłopoty była jedna, chętnie zresztą wykorzystywana przez odpowiednie służby, jeśli chciały się pozbyć kogoś ze swego stanu – służbowe przeniesienie do innej jednostki z bardzo dobrą opinią.

Szedł teraz w ostatniej czwórce i zastanawiał się nad fatum, jakie od urodzenia nad nim wisiało. Nie pamiętał swojego ojca, nie był nawet pewny czy nazwisko, które nosi jest prawdziwe. Matka, co prawda twierdziła, że jest bardzo podobny do ojca, ale zaraz potem zalewała się łzami i więcej nie można było z niej wyciągnąć. Zresztą nie tylko z niej, cała rodzina matki była dziwnie milcząca, gdy próbował się czegoś dowiedzieć o rodzinie i pochodzeniu ojca. Rozmowa była przeważnie przerywana i kończona stekiem wyzwisk pod adresem wszystkich Leńczyków na świecie. Matka, odtrącona przez rodzinę chorowała, z trudem więc wiązali koniec z końcem i często nie mieli co do garnka włożyć. Miał sześć lat, gdy matka źle się poczuła podczas pracy w polu, a ponieważ przewieziono ją do szpitala wieczorem, bo praca na polu była zbyt pilna, nie dało się już jej uratować. Jak to powiedziała jego

babka – umarła ze zgryzoty i wstydu, jaki przyniosła rodzinie. Przygarnęła go jednak do siebie, bo w końcu – chciała tego czy nie – był jej jedynym wnukiem i mężczyzną w rodzinie. Od tej chwili zaczęły się dla niego lepsze dni, dostał porządne ubranie, buty, a kiedy trochę podrósł, zaczął pracować na swoje utrzymanie. Najczęściej wyganiał krowę na pastwisko, grzybów nazbierał, drwa narąbał i przyniósł do domu. Tylko w odróżnieniu od innych chłopaków nie ciągnęło go do motorów i maszyn. Wolał siedzieć przy oknie, chodzić po lesie lub biegać za piłką. W końcu po śmierci babci trafił do domu dziecka. Tu po raz pierwszy poznał, co to jest szkoła i najpierw bardzo mu się to podobało, bo mógł sam składać zdania i nikt na niego nie krzyczał, ani nie gonił do innej roboty. Gorzej dawał sobie radę z matematyką, a gdy doszło do dzielenia liczb całkowitych z ułamkami, poddał się i nikt nie mógł go zmusić do dalszej nauki. Ukończył zawodową szkołę koszykarską, ale nie sportową, a taką gdzie uczą plecenia koszyków z wikliny.

Kiedy otrzymał powołanie do wojska, wszyscy się ucieszyli. Dyrektorka domu dziecka, bo pozbywała się kłopotu i darmożjada, który żadnej pracy nie mógł znaleźć. Jedzenie i spanie musiała mu zapewnić, a nie mogła go wyrzucić z państwowej placówki na bruk. On sam, poza ciotką, nie miał nikogo, żadnego przyjaciela, a tym bardziej dziewczyny, więc wyjazd do wojska dawał jakąś nadzieję na przyszłość. Nie przewidział jednak swojego pecha, który przyciągał do niego wszystkie nieszczęścia jak magnes żelazo. Tak samo jak teraz – miał przez dwa tygodnie zastąpić plutonowego, a okazało się, że zamiast wracać do jednostki, gdzie obiecano mu pomoc w zostaniu żołnierzem zawodowym, miał lada moment wsiąść w samolot i polecieć na misję, o której nic nie wiedział i co gorsza, nie chciał wiedzieć.

Jak przez mgłę słyszał któregoś z wyższych rangą oficerów, wydzierającego się na maszerujących żołnierzy, denerwując się ich postawą.

– Żołnierze! Pokryjcie w tym dwuszeregu, bo ja was pokryję! Kurwa! Co za dziadostwo!



Chwila ciszy sprowokowała którąś z kobiet na trybunie do interwencji, bo nagle wszyscy maszerujący żołnierze usłyszeli damski głos z głośników.

– Panie generale! Nie wierzę, że tego nie można powiedzieć bez przekleństw! To nie po katolicku, proszę nie zapominać, że tu są kobiety!

Generał był zaskoczony tak bezczelnym zwróceniem uwagi i potrzebował czasu na odpowiedź.

– Zapewne można, szanowna pani! – potwierdził grobowym głosem, co nie zapowiadało nic dobrego. – Ale opierdól w wojsku to jak „dzień dobry” w cywilu. Zresztą, oni kulturalnego słownictwa nie rozumieją! Są przyzwyczajeni do takiego, jakie teraz używam.

– No nie wiem, panie generale – kobieta miała wątpliwości, mimo zapewnień solenizanta. – U nas mówili: bądź człowiekiem, to i inni będą dla ciebie dobrzy. To takie ludzkie...

– Szanowna pani wybaczy – przerwał jej generał, dostrzegając, że inni przysłuchują się dyskusji. – W tej chwili to nie są ludzie, tylko wojskowi. A żołnierz, który nie umie maszerować, to... – zamilkł na moment, szukając odpowiedniego słowa, którym by nie uraził upierdliwej baby, żony wojewody czy kogoś podobnego, z którym musiał się jednak liczyć. W każdym razie dostrzegł gesty majora Bajerowskiego mówiącego, że to ktoś na tyle ważny, iż należy się pohamować ze swoim ulubionym, aczkolwiek prostym słownictwem. – To oferny i fajtlapy! A naszym, oficerów znaczy się, obowiązkiem, jest nauczyć jednego z drugim, jak ma maszerować i walczyć. Zaraz przyjedzie do nas pan minister z samej Warszawy, ksiądz generał – zaznaczył przeciągle – i jak to będzie wyglądało, gdy jeden z drugim nie potrafią docenić tego szczęścia, które ich spotkało. Będą maszerować przed samym ministrem, generałem i księdzem, a łajzy jedne, jak na złość chodzić specjalnie nie chcą! My chcemy im zrobić przyjemność, a oni nie chcą. – Był coraz bardziej wzburzony ignorancją i brakiem zrozumienia u żołnierzy. – Już ja ich

pogonię! Będą chodzić do nonstopu, aż wyjdzie im tak, jak powinno być! – Widocznie uznał rozmowę za skończoną, bo znowu skupił swoją uwagę na kompanii maszerującej przed trybuną.

– Ja wam mówię po raz ostatni. Macie maszerować, jakby od tego zależało wasze życie! Wymach ręki ma być taki, jakby ptak wam na rękę nasrał i chcielibyście to gówno z ręki strzepnąć! Zrozumiano?! Trzymać się w kroku! W kroku, mówię!!!

– Panie generale – tym razem wtrącił się mężczyzna. Najwyraźniej był wzburzony, a być może został do tego sprowokowany zachowaniem generała. – To lekka przesada, z tym pana słownictwem. Nie po to spaliśmy na styropianie, walczyliśmy z komuną, żeby pan teraz obrażał tych ludzi... Przecież nie po to walczyliśmy o demokrację, aby zachowywał się pan tak, jakby nic się nie zmieniło! Pan katolik i ten obrzydliwy język... Przecież nie jest pan ruskim zupakiem, przestań pan, kurwa, przeklinać w obecności kobiet i katoliczek!

Chciałoby się usłyszeć „I vice versa”, ale generał solenizant nie używał słów, których nie rozumiał, a ponieważ zasób słów miał skromny, to i odpowiedź była inna, niż się spodziewał jego rozmówca.

– Pan wybaczy, panie vice wojewodo – głos generała był co najmniej wyciszony i podejrzliwie grzeczny. – Ale wojsko zawsze wymagało twardej ręki do rządzenia. I obojętne, czy było to za czasów obrzydłej komuny czy teraz, za demokracji. Zapewne trochę przesadziłem, ale chciałem, aby pan minister wraz z księdzem generałem byli zadowoleni z naszych żołnierzy, którzy reprezentują sobą nasze województwo i bardzo chciałbym, żeby dobrze wypadli wobec moich... naszych gości ze stolicy.

Człowiek od nagłośnienia doszedł wreszcie do wniosku, że lepiej będzie, jeśli wyłączy głos w kolumnach, tym bardziej, że dostrzegł wymowny ruch dłonią przy gardle wykonały przez majora Bajerowskiego. Wiedział, co się z nim stanie, jeśli chociaż jedno słowo pójdzie dalej przez głośniki. Ponieważ zawsze był posłusznym podwładnym, zadziałał od razu choć z opóźnionym refleksem.

Szeregowiec Piotr Leńczyk stał i marzył. Wcale nie o ciepłej kwaterze, chociaż nie miał nic przeciwko temu, aby i to się ziściło. Był po prostu głodny. Obiad, który zjadł przed dwiema godzinami, dawno strawił, a był znany z tego, że notorycznie bywał głodny, zaś jedzenie było źródłem większości jego kłopotów. A dokładniej próby, jakie podejmował, aby zaspokoić głód i uciszyć ssanie w żołądku. Jego możliwości pochłaniania kolejnych porcji jedzenia były ogromne i czasami przerażały jego samego. Mimo, że był chudy jak przysłowiowy patyk, przy swoich stu siedemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu pochłaniał nie tylko przysługującą mu porcję pożywienia, ale nie odmawiał żadnej dokładki, a po dwóch godzinach zaczynał kręcić się przy kuchni, mając nadzieję, że zostanie to zauważone. Trudno było mówić o jakimkolwiek wyłudzeniu, nic nie chciał na ładne oczy, po prostu oferował swoją pomoc w kuchni przy przygotowaniu jedzenia w zamian za zrozumienie jego potrzeb. Kiedyś próbowano zatrudnić go w kuchni, ale okazał się antytalentem kucharskim, za to doskonały był w myciu i szorowaniu garów, najchętniej tych, w których zostało coś jeszcze na dnie. Podejrzewano nawet, że ma w sobie jakiegoś gronkowca czy tasiemca i chciano skierować go na specjalistyczne badania, ale nie zdążono go wysłać, bo wydarzył się wypadek w hangarze, gdy podpuszczony przez kolegów próbował spuścić trochę spirytusu z osprzętu stojącego tam samolotu. Nic by się nie wydało, gdyby wcześniej go poinformowano, że należy przy tym unikać ognia. A że przy zassaniu rurką spirytusu oblał swój mundur, to stało się to, co stać się musiało. Pożar jest najgorszą rzeczą, jaka może się zdarzyć na lotnisku, gdzie jest zawsze dużo paliw, smarów oraz najróżniejszych urządzeń mechanicznych.

Nie było żadnego problemu z wyjaśnieniem sprawy, zresztą Leńczyk wcale się nie ukrywał, bo nie miało to żadnego sensu. Zwracał na siebie uwagę opalonym i dziurawym mundurem, a nikt, kto go znał, nie przypuszczałby, że dziury są efektem ochotniczego gaszenia pożaru. Wyznał wszystko jak na spowiedzi dowódcy

jednostki, choć nie zdradził udziału kolegów w całym zamieszaniu. Był świadomy, że teraz zajmie się nim żandarmeria wojskowa i oskarży o próbę sabotażu i spalenia samolotu bojowego, ale dowódca na szczęście miał inny pomysł. Wiedział, że jeśli nada sprawie oficjalny bieg, prawie od razu będzie miał na karku inspekcję z dowództwa i niepochlebny wpis w aktach. Polecił więc zamknąć całą sprawę, opisując ją jako samozapłon, a szeregowca Leńczyka rozkazał zamknąć na dwa dni o chlebie i wodzie, po czym pozbył się go z jednostki – najszybciej jak się tylko da i najdalej, jak to jest możliwe. Już następnego dnia dostał obiegówkę do załatwiania i pojechał do nowej jednostki, gdzie czekał na niego plutonowy Leńczyk ze swoją niecodzienną propozycją, która wtedy wydawała mu się zrzędzeniem losu.

## **Spis treści**

Rozdział pierwszy.....	5
Rozdział drugi.....	49
Rozdział trzeci.....	106
Rozdział czwarty.....	150
Rozdział piąty.....	194
Rozdział szósty.....	244
Rozdział siódmy.....	298
Rozdział ósmy.....	358
Rozdział dziewiąty.....	403
Rozdział dziesiąty.....	444
Rozdział jedenasty.....	485
Rozdział dwunasty.....	534
Rozdział trzynasty.....	577
Rozdział czternasty.....	622

Projekt okładki: Monika Pollak, [Monika.pollak@wp.pl](mailto:Monika.pollak@wp.pl)

Korekta: Tomasz Kwiatkowski

Redakcja: Romuald Pawlak [romekpawlak@gmail.com](mailto:romekpawlak@gmail.com)

Marcin Lasoń

© Copyright by Księgarnia Zdanowicz Kwidzyn 2007

© Copyright by Władysław Zdanowicz

82-500 Kwidzyn ul. Łąkowa 21

E-mail: [ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl](mailto:ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl)

[www.kwidzyn.osdw.pl](http://www.kwidzyn.osdw.pl)

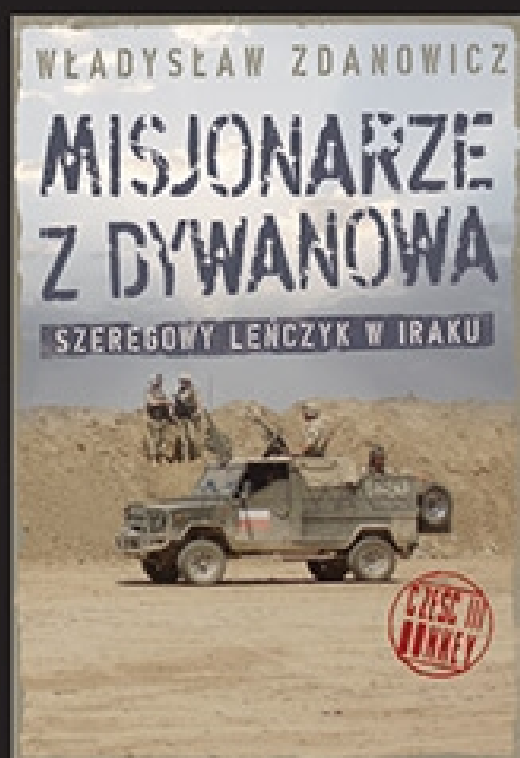
e-wydanie I

**łamanie, konwersja i korekta techniczna:**

**Oficina wydawnicza RW2010**

[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

[korekcja@rw2010.pl](mailto:korekcja@rw2010.pl)



[ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl](mailto:ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl)  
[www.kwidzyn.osdw.pl](http://www.kwidzyn.osdw.pl)  
[www.wladyslaw-zdanowicz.pl](http://www.wladyslaw-zdanowicz.pl)

